



Nr. Książki

C TT58

Tytuł
Książki

Trapezologjon

Data
wrotu

Data
wypoż.

BIBLIOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

6100 NORTH CICERO AVENUE
CHICAGO, ILLINOIS 60646-9975

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać – obłóż mnie w papier.
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mniej kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiednim!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszczy obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Narodowego Polskiego, aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i w ogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

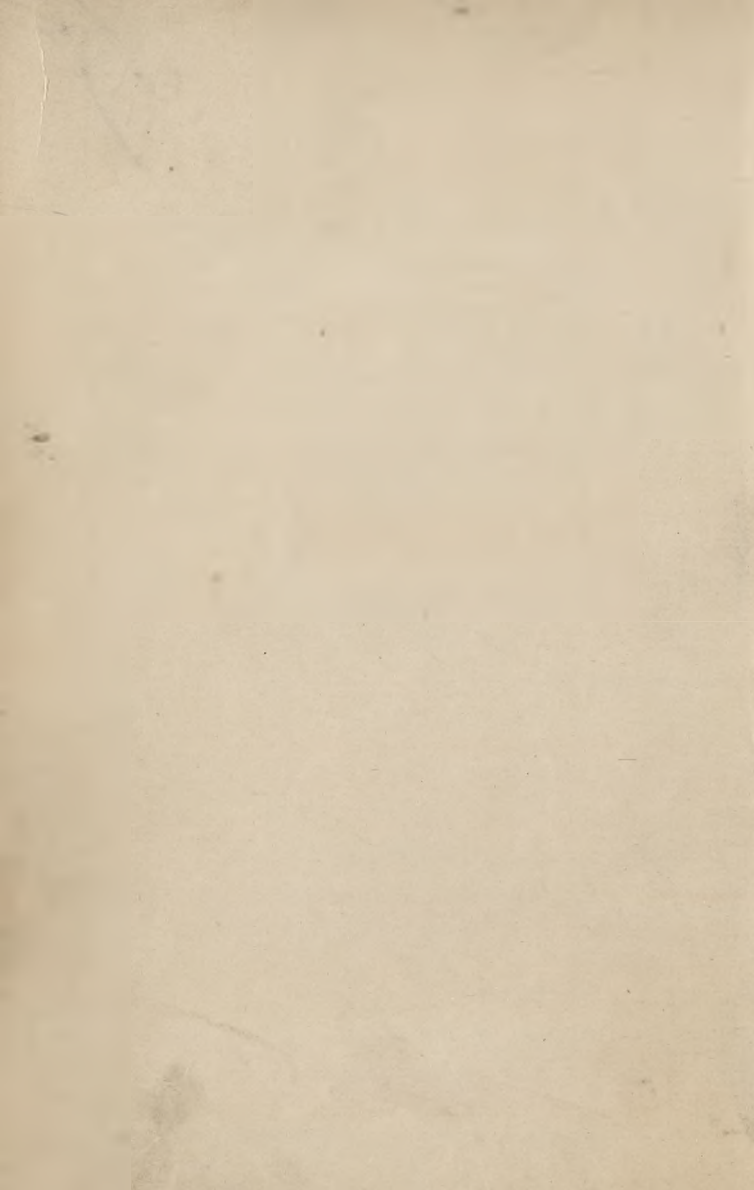
DYREKCJA

NOV 1986 - 2M

10.910
111

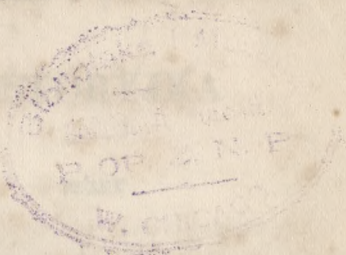
© 1158

~~© 1158~~



~~e77/5~~

© 1158



TRAPEZOLOGJON.

TRAPEZOLOGJON.

HISTORYJKA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.



WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM J. UNGER,
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

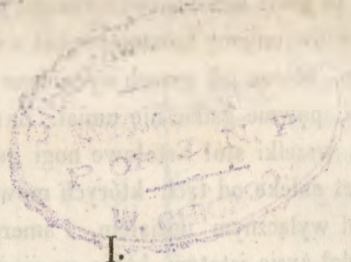
1855.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
egzemplarzy.

W Warszawie, d. 14 (23) Września 1854 r.

Starszy Cenzor, Radca Dworu,

J. Papłoński



Czuła się w obowiązku Ameryka czemkolwiek wywdzięczyć staruszcze Europie za troskliwość z jaką ją ona wyposażyła na nowe gospodarstwo, i jak to czasem wnuczki przynoszą babuni nadgryzioną gruszkę, lub obłamany sucharek, z uśmiechem zadowolnienia, przysłała nam, — a ba! zgadujcie kochani czytelnicy!! zgadujcie: nie mówię ani o wyrobach z Kauczuku, ani o gutta perce, ani o olbrzymich fotografiach, ani o większych konserwach.... tylko o gadających stołach. Nieprawda że podarunek ładny?? Utrzymuje ktoś tam bardzo uczony, że u Ammiana Marcellina mowa już jest o stołach gadających za czasów Rzymian, ale w Ammianie Marcellinie znajduje się co kto zechce, i stoły amerykańskie

daleko za sobą zostawiły rzymskie. Stoły Ammiana była to jakaś lichota, coś z różeg i prętów sklejonogo, a ów miliony kosztujący stół z drzewa cytrynowego, któren jak grzech wyrzucano na oczy Cyceronowi, pewnie gadać nie umiał. Za naszych zaś czasów, wszelki stół i stołowe nogi gadają, rozumniej nawet daleko od tych których mowa zdała się być dotąd wyłącznym udziałem, i amerykański wynalazek dał życie istotom które go nigdy nie miały. Jeszcze chwila, a jak rozruszawszy się poczną paplać i sprzęty wszelkie i cała nas otaczająca natura... o to dopiero gwar będzie... choć uciekaj.

Wróćmy tymczasem do stołów gadających... Któż nie pamięta tego szalu który był opanował nagle stoliki jak stoliki, ale co gorzej ludzi, i tej chwili dziwnej, kiedy, gdzieś się obrócił wszędzie się doświadczenie ze stolikami spotykało. Kręciły cię naprzód stoły, potem kręcili ludzie, aż z tej krętani-ny głowy się pozawracały i dziwolągi pleść zaczęto. Widziałem ludzi co nie wierzyli w nic na świecie i poza światem, co się śmieli ze wszystkich świętości, a kłaniali się stołom i rozumowi nóg stołowych.— Niewiem co tu było dziwniejszego czy rozum kawałka drzewa, czy głupstwo człowieka; ale koniec koi-

cem zdaje mi się, że nigdy ludzkość bardziej upokorzoną nie została, nigdy srożej ukaraną za wiek niedowiarstwa i swawoli; nigdy z piersi zbolałej, nie wyrwał się też mimowolnie silniejszy dowód potrzeby wiary i nadziejskiego świata. Niedawno zaprzeczaliśmy exystencji duszy, a przyszło nam uznać duchy i do licha! mieszkające w nogach stołowych!!

O samym fenomenie kręcenia, kręcielstwa, i gawędy, nic nie powiem, wierzę bardzo że człowiek gdy czego zapragnie zrobić, to potrafi: będą mu się kręcić nie tylko stoły, ale światy, będą mu mówić kamienie. Przyjmujemy więc fenomen za istotny, tem chętniej żeśmy gonigdy oczyma własnymi sprawdzić niemogli, prócz zdarzenia ktore wam właśnie opowiem.

Było to w roku stołowej mañji, (poszukajcie w pamiętnikach miasta Warszawy daty, bo ja jej już nie pamiętam); jechałem o kilkadziesiąt mil z domu gnany gwałtowną potrzebą, dość smutny, stroskany i zaprzątiony, do miasta w którym żywej duszy nie miałem znajomej. Najmilszą w drodze rozrywką, przypatrywać się krajowi który przebywamy i robić zapasy obrazów, zapasy wspomnień na przyszłość; pomimo smutku i zaprzątnienia oparłszy się w głąb po-

wozu, śledziłem okiem coraz nowe widoki przesu-
wające się przed oczyma.

Wołyń nasz przesliczny... dla malarza, rysownika,
poety, ile tu wdzięcznych przmiotów!; opromienie
je tylko pyłkiem ideału, którego każdy, zapas powi-
nien mieć w sobie, a cuda się z tego urodzą! Z gó-
ry nagle rozwija ci się przestrzeń kilkomilowa a po
niej rozsiane sioła, laski, rzeki, stawy, aż serce bije
do tej panoramy na pozór jednostajnej i monoton-
nej, a w istocie pełnej różności i wdzięków nie-
dostrzeżonych pospolitemu oku. Spójrz-że bliżej sie-
bie, co krok to obrazek niedorównany, tam stary
młynek w słomianej czapie, na kulach podparty,
wśród wierzb mimo poobciosywania kształtnych jesz-
cze i naprawujących co popsuł nielitościwy człowiek,
owdzie chatka lepiona, sztukowana, dołatywana,
z malowniczymi płoty i bramką; dalej kuzienka z da-
chem porośłym zielenią, i dwór biały w starych li-
pach u brzegu stawu i karczemka ze swą galerją
słupów i mostek jakby go Ruyzdael komponował do
swojej wody umyślnie, i gliniasty obryw pokryty
powojami i roschodnikiem, i cerkiewka czarna, ozie-
leniona mchami, z potrzaskanemi gontami na pochyłej
kopulce... i... ale kto to policzy. Często stanie za o-

braz cały, jeden wypruchniały pień dębu, otoczony gawiedzią zielska co z niego wyrosło, z obmytymi korzeniami, z wypaloną dziuplą, [ze mchami i porostami które się go poczepiały; często kawał kamienia i trochę piasku tworzą ci Calam'owską całość prześlicznego efektu, to natura dopiero, cóż ludzie... Każdy spotkany niesie ci na plecach dramat, na twarzy powieść, w oku długą historją; zgadujesz te chodzące zagadki i marzysz rokosznie...

Ale to miłe zajęcie próżniacze, dla mnie nagle dnia tego zatrute zostało...

Burza może być rzeczą niesłychanie wspaniałą, niedorównanie w swoim rodzaju piękną, przecież ja jej wcale nie lubię; a w drodze wolałbym monotónję pogody, niżeli piorun zawieszony nad głowami.— W razie nawet grożącej nawałnicy, jakkolwiek nie mam zwyczaju wstępować po drodze, używam przywileju szlacheckiego i gdzie mi komin zabieleje gotówem zajechać, byle czuć dach nad sobą...

Kiedy tak zatopiony w rozważaniu piękności natury siedzę sobie najspokojniej i dumam o niebieskich migdałach, jak gdyby w czterdziestym roku życia jeszcze o nich marzyć było wolno, nagle blaski słoneczne przyćmiły się, i coś w oddaleniu zahu-

czało. Oglądam się!... wystawcie sobie państwo przestrach mój i zdumienie gdy mój ujrzał poza sobą doganiającą mnie chmurę... I nie była to sobie owa wiosenna chmurka która przeleci, zahuczy, zabłyśnie, lunie i poszła dalej, ale *nimbus*, paskudny *nimbus*, czarny, siny, płowy, plamisty, którego nie widać było końca... Ciarki po mnie przeszły gdy mój to straszdyło zobaczył, oko w oko się z nim spotkawszy... A to już grzmi na dobre, i niedalęj jak o werstę widać siwe smugi deszczu przerzynane wężykowatemi piorunami; a chmura jakby ją kto pędził leci, leci, nabiega na nas na skrzydłach wiatru...

W zbliżaniu się burzy jest coś może straszniejszego nad nią samą... wokoło jeszcze cisza przerażająca, jakiegoś oczekiwania, przełknięcia, upadku, żaden liść nie zadrży, powietrzem odetchnąć nie można, a na niebiosach... Konie lecą, szaleją, grają, pędzą już, i tylko chwilami świsnie e i wiatr przodowy goniec, w twarz uderzy i poszedł dalej. Czujesz że tuż, tuż, ot zerwie się uragan, że to co stoi spokojnie, strzaska się może pod jego ramienia ciężarem... a to przed tą potęgą ani się skryć, ani z nią walczyć!! Radbyś żeby ta chwila zbliżyła się już, przyszła i przeszła, widzisz jak pędzi ku tobie i doczekać jój nie możesz...

Takie było właśnie położenie moje, a najpierwszą myślą, szukać gościnnego dachu, któryby mnie przyjął póki burza nie przeminie; znaleźć choćby karczmę, choćby chatkę, ale w koluteńko nie mogłem dopatrzeć żadnej... wsi nie było! Na ostatku pomyślałem o dworze, bo najmniej chętnie zajeżdża się tam, gdzie opłacić się potem nie można, a zawadzać się musi, — i ujrzałem nieopodal od drogi w prawo, ponad trzcinami zarosłym stawkiem, którego drugi brzeg otaczał lasek brzoźowy, małeńki dworek z białymi dwoma kominami, ukryty wśród drzew rozłożystych... Nie było ani wsi ani gospody, tylko z jednej strony prosty młynek nad grobelką, z drugiej ów dworek przyczajony wśród krzaków i zarośli. Ale z powierzchności wnosiłem, że do wielkiego pana nie należał, i kto wie, mógł nawet tylko ekonoma ukrywać, — nie wachając się, nagłony grzmotami, kazałem zwrócić drogą ku niemu.

Jakkolwiek jużem się był zebrał na tę determinację, a huk oddalonych grzmotów odwagi do popasu na spokojny dworek dodawał, pilnie wszakże poglądałem na wszystko by odgadnąć jaki mnie tu los mógł czekać. Drożyna wiodąca do dworu, była zupełnie zarosła... miało to swoje znaczenie; w uli-

cy, w dziedzińcu nawet pełno chwastów... płoty porozwalane... oficynka przy domu licha i w ziemię wklękała, ściany jego z tynku poopadały, jeden komin był wyszczerbiony, na dachu stare gąty z niebardzo młodą kłóciły się słomą... Dojrzałem zbliżwszy się po jednej stronie powybijane szyby zalepione papierem... i ogół tych nieporządków uspokoił mnie trochę, bo wolę zajechać zawsze do uboższego... a tu ubóstwo każdą dziurą wyglądało. Nie jestem wcale panofobem, ale pan jest jak cukierek, doskonały na zakąskę, nic nie wart gdy człowiek głodny. Niewiem czyby mnie jaka burza potrafiła zapędzić do pałacu... bo służby jaśnie wielmożnych i przedpokojów arystokracji, gorzej się boję niż grzmotów.

Jużem miał odetchnąć zajeżdżając przed skromny na dwóch słupkach oparty ganeczek, będąc pewien, że znajdę pod tą strzechą jakiegoś starego gracjalistę lub ekonomę; gdy pustka dziedzińca, brak na nim ptastwa i naczyń, bielących się płócien, koryt i korytek do napajania trzody, brak sprzętów wiejskie gospodarstwo otaczających, dały mi nieprzyjemnie do myślenia znowu. Gdzieżby to ex-oficjalista lub czynny oficjalista wytrwał bez tych akcesorjów i go-

spodarki na własną rękę? Któryżby z nich nie hodował gęsi, kaczek, kur, indyków, koni, bydła, świń, owiec i gołębi korzystając z pośladów, okładów i rozmytych nie liczących się za nic, zwłaszcza na Wołyniu śmieci stodołowych: A tu ani tego, ani sztuczki płótna na którąby gospodyni naprzędła, ani motków bielących się, ani nic... a nic...

Zagrzmiało ogromnie, wyskoczyłem w ganku i jużem się odwrócił spodziewając ujrzeć przed sobą dziewczkę, lub chłopaka w najprostszym stroju złożonym z koszuli i spodni płóciennych, gdy na progu sieni zetknąłem się z olbrzymim hajdukiem... wyobraźcie sobie państwo!! w popielatym surducie... to nic... w butach i szarawarach... to fraszka... w czerwonej kamizelce... bagatel... ale z herbowemi guzikami!! Był to drugi piorun... struchlałem na widok pleczystego służalca i ust jużnie umiałem otworzyć... W tém błysnęło ogromnie, szeroko grad sypnął jak kule i piorun roztrzaskał wierzbę o kilkaset kroków od dworku na grobli przy stawie. Nie było sposobu zawrócić nazad.

— Jest pan w domu? spytałem.

— Pan Podkomorzy? a w domu, rzekł hajduk, i panna Celestyna przyjechała, i pan Henryk jest, i stara jejmość...

Na te słowa struchlałem łamiąc ręce, ale uherbo-
wany służący drzwi mi otworzył, musiałem wejść...
wystawcie sobie państwo położenie moje!...

II.

Jażem miał rozpocząć mowę, do której wstęp patetyczny układałem w głowie przez całą szerokość sieni, gdy w pierwszym zaraz pokoju, dziwny widok uderzył oczy moje, i ust nie dał otworzyć...

Dziwny, — bo niespodziewany zupełnie. Pomimo herbowego służalca, nie sądziłem żebym w lichym tym i opuszczonym dworku zastał wykwiśniejsze towarzystwo; niemyslałem go też napaść na uczynku niezwykłym i dla mnie zrazu całkiem niezrozumiałym. Tymczasem, oczy moje spotkały obraz osobliwszy, dla którego nawet o burzy zapomnieć było potrzeba.

W pierwszym dość obszernym pokoiku, opuszczonym jak domek cały, z brudną u okna firanką,

z chwiejącą się posadzką dość dawno nie mytą, z kominikiem niepobielanym na wielkanocne święta, — w pokoju w którym kilka krzesel ze strzałami w poręczach, kanapa w tymże rodzaju i para konsolek w stylu XVIII-go wieku stały po kątach, cztery osoby siedziały w głębokim milczeniu, z natężoną uwagą nad stoliczkiem o trzech nogach, nie śmiejąc się ruszyć, tchnąć, podnieść oczów, tak zajęte były, w pierwszej chwili niepojętymi jakimiś dla mnie czarami. — Nikt nie spojrział nawet gdym wchodził, nikt głowy nie odwrócił, nikt mnie nie spostrzegł, stanąłem nie wiedząc co począć wielce zaambarasowany... ale ta chwila posłużyła mi do rozpatrzenia się w towarzystwie.

Domyśliłem się odrazu, że najstarszy mężczyzna który przysiadł na kanapie, musiał być panem podkomorzym; był to szpakowaty, żylasty, dobrze zbudowany jegomość, w lekkim paltocie, w chustce na szyi zawiązanej *à la Colin*, z którego czuba zadartego do góry, faworytów utrzymanych starannie znać było że się nie pozbył pretensji do młodości, daleko już, daleko na drodze życia zgubioną... Rysy jego twarzy były wyraziste, ale pospolite, czoło wielkie, cera blada, a piętnem charakterystycznym

w fizjonomji, zrażenie zarazem i zwierzęcy jakiś wyraz siły. Ubiór kusy, opięty, ale dość staranny, zdaleka dozwalał go wziąć za młokosa; bo się trzymał po żołniersku.

Pani nazwana jęjmością, jakiem się domyślił podkomorzyna, dość otyła, biało-różowa i przed laty zapewne piękna, z drobnouchnemi rysami przystojnej i świeżej suberetki, które starzejąc dziwnie na szerokiej twarzy się rozlokowały, z niebieskimi oczyma; ubrana w białą suknię, wstążki niebieskie jako blondynka, miała wyraz dobroci miękkiej, nieudolnej, obojętnej... Znać było że żyła więcej roślinnym żywotem nizeli duszą i myślą, która w niej spała nieprzebudzona.

Trzecią osobą był pan Henryk, w króciutenieckim tuzureczku elegant, z ogromną szpilką na której rycerz zabijał smoka, wpięty w chustkę jasnego koloru buchasto zawiązaną na szyi, w spodniach w kraty nadzwyczajnych rozmiarów, ze wszystkiemi przyborami lwa odznaczającemi, z cygarnicą wyglądającą z kieszeni jednej, z łańcuchem od zegarka wiszącym na brzuchu, z trzcina w gałce oxydowanej i t. d. i t. d. Włosy jego długie, wąs i broda, dawały mu fizjonomję żurnala mód, najgłupszą jaką

mieć można, przesadną a pospolitą, bijącą w oczy a niesmaczną..

Nareszcie obok siedziała jeszcze panna Celestyna, jakby to grzecznie powiedzieć?? stara panna! Tak jest, niestety, panna dobrze już nie młoda, chociaż bardzo jeszcze ładna, słusznego wzrostu, giętkiej i dobrze wciętą w pasie postawy, wystrojona z najwytworniejszym gustem i elegancją dobrego tonu. Prześliczne jej orzechowe włosy, gładko uczesane, niczem nie przybrane, spadały na szyję białą jak kość słoniowa, ramiona kształt miały utoczony, spływającą linią schodząc zwolna ku rękoma na pół odkrytym spod szerokich rękawów koronką obszytych.— Profil, który dostrzegłem czysty był, proporcjonalny, jak rysunek Overbec'ka aniołów; ale na całej tej postaci lata i smutek zostawiły piętno swe nie zmazane; a uczucie, prawie żadnego nie wryło na niej śladu!

Zajeżdżać do dworku w czasie burzy, potrzebując gościnnego przyjęcia i wpaść na takie cztery twarze z których żadna nie obiecywała nic, nie pociągała ku sobie, na to potrzeba było mojego szczęścia! a w dodatku przybyć w chwili gdy ci państwo tak byli

zajęci, tak zaprzątynieni, że z konieczności musiałem im być natrętnym!... prawdziwa fatalność!

Stałem nie wiedząc co począć, poznawszy już narzeczcie o co chodziło im, że stolik którego dotykali rękami miał się kręcić, czy gadać, — gdy pierwszy pan podkomorzy ziewnął, podniósł głowę i zobaczył mnie jak słup w milczeniu wpatrującego się w nich z miną zafrasowaną.

— A! wyrwało się z ust jego, — myślałem że Michałek.

I z kolei trzy jeszcze A! różnemi wymówione głosami zabrzmiały mi w uszach, nieukontentowaniem, zapytaniem, wymówką. Nikt jednak ręk od stolika nie odjął, nikt nie wstał, a ja z ukłonem unizonym począłem tłumaczenie moje... dość niesforemne niestety!

Bo jak się tu proszę logicznie wytłumaczyć grzmotami z napaści niesłychanej, niepojętej ludziom którzy się grzmotów nie obawiali nigdy i nie pojmują żeby ktoś niezaprezentowany śmiał do ich domu zajechać!

Podkomorzy jednak, gospodarz domu jak widać, niezbyt nie rad gościowi, prosił mnie siedzieć go-

ęcinnie i zawołał nie wstając od stolika na Michałka, ażeby koniom kazał odejść do stajni.

— Widzisz pan, rzekł, gdym usiadł tchórzliwie w kątku, zajmujemy się tu ciekawem doświadczeniem obrotu stolików. Ja i moja żona nie wierzymy w to wcale, ale pan Henryk dowodzi...

— Ale proszę papy, to już dowiedzione dla całej Europy... dorzucił elegant z wyższością.

— Tysiąc razyśmy probowali, dodała panna Celestyna nieukontentowana, że ktoś obcy zastał ich nad taką niewdzięczną robotą.

— Ja nie uwierzę, aż zobaczę! szepnęła matka, ale to coś trwa długo, a tu tak gorąco!

Mówili jeszcze, gdy stół zadrgał od strony pana Henryka, zatoczył się jak pijany, pan Henryk komenderować począł pospiesznie, wszyscy z miejsc powstali, i ożywiony sprzęt okręcił się, raz, drugi, trzeci wodząc za sobą posłusznych magnetyzerów. Podkomorzy zaciął usta, sama poczęła się śmiać pokrywając uśmiechem niepokój widoczny, pan Henryk przybrał minę człowieka, który dopełnia niezmiernie ważnej czynności, a panna Celestyna szukała lustra oczyma wskazując że już ją to znużyło. Obrot stolika poprowadził go kukominowi, do pro-

gu, pod okno, nareszcie zachwiał się wędrownik, zakołysał i mimo usiłowania podtrzymujących, upadł na ziemię... Doświadczenie skończyło się na tem, Michałek który wcale tego nie rozumiał, dźwignął stolik ruszając ramionami, i postawił go na miejscu, a że deszcz lunął jak z cebra, wszyscy zasiedli na miejscach, naprzemiany mnie i deszczowi się przy-
patrując...

Za gościnę musiałem płacić językiem, a chwytając gotowy przedmiot, począłem zaraz o stołach, usiłując sobie przypomnieć na pamięć co tytkom gdzie o nich słyszał. Przyznam się państwu, że mnie to bardzo mało obchodziło od początku do końca, i żem na te cuda patrzył obojętnem okiem, żalując ludzi co swe siły marnowali na obracanie kawałka drzewa, gdy użyć ich mogli lepiej; ale na ten raz trzeba było dobyć z kieszeni całej erudycji i uśmiechając się, zdawałem im sprawę z wszystkiego co pisma publiczne ogłosiły były o tej mistyfikacji amerykańskiej.

Znać było potwarzach, że przekonawszy się z mowy, z kim mieli do czynienia, to jest, żem nie był ani kupczykiem, ani kancellarzystą z bliższego miasteczka, lepszem na mnie spojrzeli okiem. Pan Hen-

ryk mocno mi dopomagał, cuda nad cudami prawiąc o stołach, o których mówił jak człowiek co ani fizyki, ani żadnej z nauk przyrodzonych dobrze nie zna, a śmiało i stanowczo wyrokuje, przywykły będąc że mu nikt nie zaprzeczy. A mnie téż (póki trwały grzmoty), przeczyć wcale nie wypadalo, choć doprawdy takie prawil androny, zem słupiał z podziwu nad zuchwalstwem jego. Podkomorzy uśmiechał się rozkosznie słuchając dźwięków téj mądrości drogo opłaconej w Berlinie i Götyndze..... którą brał za dobrą monetę... Pani podkomorzyna ziewała, poddrzymując jak zwykle osoby otyłe przed deszczem, a panna Celestyna siedziała zamyślona o czem innem.

Pan Henryk widząc że przy mnie wszystko mówić można i wysondowawszy że mu zaprzeczać nie myślę, posunął się w stolikowym szale do krańców ostateczności. Na trzech nogach biednego sprzętu, budował całą teorię jakąś najosobliwszą duszy, ducha, duchów, związku materji ze światem niewidzialnym, związku żywych z umarłemi i t. d. i t. d. Bałamucił i tumanił, ale gdy kuso było bardzo, rzucił wyrazem niezrozumiałym jak piaskiem w oczy i nowu dalej...

Tymczasem deszcz lał, a jam siedział i słuchał.

Podkomorzy to ruszył brwią, to zażył tabaki ze złotej tabakiereczki, to nogę na nogę założył, to chrząknął, i przez te sygnały zostawał w związku sympatycznym z bredniami pana Henryka.

Ja miałem czas powoli zbadać trochę towarzystwo wśród którego się znalazłem, i napracowawszy się dobrze myślami, dopierom sobie przypomniał, że osoby te nie były mi całkiem nieznanymi. Nigdy ich wprawdzie w życiu nie widział, ale któż u nas na dwadzieścia kilka mil wkoło, nie zna, nie wie otaczającego go świata? Byle uszy, można się o nim nasłuchać; byle pamięć, można przy każdym nazwiku znaleźć w zapasie całą jego historję... Tytuł podkomorzego, pan Henryk, panna Celestyna, sama pani, nagle mi się przypomnieli, jako typy o których nasłuchałem się od mego przyjaciela pana Brażewskiego, znającego cały Wołyń wszcz i wzdłuż, jakby miał to tylko posłannictwo na świecie, skupienia w swojej głowie w jedność rozpierchłych rysów obrazu naszej prowincji.

Przypadek zaprowadził mnie pod dach pana podkomorzego, ale któżby się był po tym dachu, wielkiego pana podupadłego własną winą domyślił? Ten

dworek, wioseczka mała przy nim, excypowana z dóbr obszernych były jedyną pozostałością starca, który nadtrwoniwszy majątku na hulankę długą, oddał nareszcie dzieciom niedobitki fortuny, sam z kilką faworytami usuwając się na ustronie, pod nie wiem jakim pozorem.

Podkomorzyna z córką mieszkały w pałacu w Berbeciach, o milkę od podkomorskiego dworku w Monplaisir; pan Henryk w Ciopkowie, gdzie sobie dom gotycki pobudował tymczasowo. Ten Monplaisir dziś zarosły, zrujnowany, zachwaszczony, zdziczały, dawniej był parkiem i miejscem przejażdżki, balów, wieczorów... Któżby go poznał słomą pokrytego, bez płotów... bez bram i mostków, bez karuzelów i huśtawek, których tu tyle być miało!

Słyszałem wiele o podkomorzym dawniej i z tak różnych stron, że rad byłem poznać go bliżej i sam osądzić. Jedni mi mówili że to był rozpustnik, habiarz i utracjusz, drudzy żalowali go iż się ze wszystkiego wyzuł posłuszny kapryswi żony i dzieci, z największego przepychu schodząc na ubogie życie szlachcica o kilkunastu chatach. Ale w rodzinie téj nie widać było nic, coby znamionowało że w niej zgoda zachwianą została na chwilę, ani wielkiej

czułości, ani też kwasu nie dostrzegałem, podkomorzy wcale nie wyglądał na ofiarę, żona nie podobna była do tyrana, a dzieci — były sobie jak wszystkie terażniejsze dzieci, co to dorosłszy do wąsa, papę biorą pod rękę i traktują po przyjacielsku, a bez ceremonji.

Pan Henryk mówił jeszcze, ja jeszcze słuchałem, gdy drzwi się otworzyły i weszło coś suchego, długiego, w szaraczkowej kapocie, z rękami w tył założonemi, w których ogromna chustka niebieska i czarna tabakiera rodzaj trofeu formowały. Błady ten z zaciętymi usty jegomość, pochylony na prawo nałogowo, skłonił się i zasiadł przy drzwiach.

III.

Na przybyłego niewiele kto zważał, a po obejściu z nim poznać było można, że się liczył za domowego, za coś nakształt rezydenta. — Mnie wyraz jego twarzy uderzył więcej niż innych. Głowę miał mocno śpiczastą i łysą, twarz niezmiernie długą, wybladłą, oczy dziwnie wypukłe na wierzchu siedzące, żabie; usta wykrzywione w tęż samą stronę co ramiona; a w ogóle był jak mara jaka. Wzrost jego, przygarbienie i pochylenie, przymrużanie jednego z tych oczów wypukłych naprzeciw skrzywionego ust kąta, odpowiadające zgięciu ramion, a szczególnie pełen niespokojny charakter fizjonomji, wielkie na mnie zrobił wrażeń; poczułem wstręt nieopisany do niego. Musiał i on doznać tegoż samego

uczucia na widok natręta, gdyż jednem okiem swojem wyszczerzonym, a drugim powieką nawpół pokrytem, pilno mi się przypatrywał, jakby chciał odgadnąć kto byłem, i po com przyjechał.

Pan Henryk rozprawiał tymczasem, szczególnieź za słuchaczy obrawszy ojca i matkę, a mnie za konfirmatora.

— Tak, kończył z głową podniesioną i tonem doktora mówiącego z katedry, przyszły czasy potężnych odkryć, przyszła era ducha i jego rozwoju... Duch tryska zewsząd by się zlać w ognisku duszy ludzkiej do jedności. Obrót stołów jak zawsze drobnostka, poczyna epokę nową i wielką, od kropli z lodów alpejskich rodzą się rzeki ogromne... Zaledwie się poczęły obracać: jużci mówią, zgadują, prorokują.

— A toż co? przerwał ojciec... niechże kręcą się to jeszcze, przyczyna być może fizyczna, ale żeby mówić miały...

— A kiedy mówią! i co gorsza wróżą, zgadują, opowiadają i rozumują.

— Co? oszalałeś? ruszając ramionami rzekł pod komorzy.

— Ale tak jest! widziałeś papa jedno, możesz zobaczyć i drugie...

Stary niecierpliwie ruszył ramionami.

— Nie żartujże ze mnie! dodał po cichu.

— Ale to najprawdziwsza prawda... Stoły gadają...

— Jakimże sposobem?

— Nogami! zawołał pan Henryk.

— A toż być trzeba głupim jak stołowe nogi, by temu uwierzyć! krzyknął podkomorzy.

— Ojcie kochany, przerwał uczony pneumatolog, w rzeczach ducha nie ma niepodobieństwa. Siadajmy i probujmy...

— Mnie jeszcze od pierwszego doświadczenia ręce drgają, niechętnie odezwał się podkomorzy, dziękuję, dziękuję! do gawędy ze stołem należyć nie będę... macie na miejsce moje Nieklaszewicza...

Błady jegomość skłonił się tylko wstawszy trochę z krzesła i przysiadł, ale usta jego wykrzywił uśmiech tak tajemniczo szyderski, że mi się aż straszno zrobiło. Gdy się to dzieje, podkomorzyna przywoławszy uśmiech na usta, drzemie i przebudza się co chwila, panna Celestyna bawi się pasem sukni,

a ja przestraszony oczekuję ażali mnie nie przywoła-
ją do stolika, czegom się niezmiernie obawiał.

Szczeńciem pan Henryk który się zajął urzędze-
niem gadającego stolika, pociągnął siostrę i matkę,
przywołał Nieklaszewicza, pospiesznego na zawoła-
nie, a ja prostym tylko widzem zostałem z podko-
morzym.

Na dworze tymczasem wtórem do czarnoksię-
zkiej owéj roboty odbywały się pioruny, huczało nie-
bo, błyski co chwila stawały się gęstsze i ciemność
przeraziwszy po nich, a dęszcz nieustając lał jak
z wiadra.

Nim ręce związane w ów tajemniczej władzy łań-
cuch, który miał mową obdarzyć stolik niemy, pan
Henryk zajął się obszernym wykładem teorii języka
stołów, rozpowiedział jak nogą stukać będzie na li-
tery, i t. d.

Nieklaszewicz który milczał do téj pory, wzru-
szył ramieniem z téj strony z której był nieskrzy-
wiony, bo uważałem że część upośledzona u niego
do niczego się nie wdawała, i odezwał się zachry-
płym głosem nadzwyczaj cienkim, tak, że mnie głos
ów niemniej od postaci jego przejął.

— Proszę pana grafa, już kiedy może stukać nogą, to mógłby i gadać, poprostu jak my.

— A kiedy gęby nie ma! odpowiedziała bardzo naiwnie podkomorzyna tłumiąc ziewanie.

— Tak to jest, że gęby nie ma, ani słowa że nie ma, rzekł spuszczać głowę Nieklaszewicz, ale ba! kiedy ludzie magnetyzowani brzuchem widzą, stolik mógłby gadać nogami.

— Śmiejecie się państwo, przerwał pan Henryk gorąco, ale na honor, Nieklaszewicz ma racją, zupełną ma racją... stolik mógłby i powinienby gadać.

Podkomorzy splunął i ruszył ramionami, ja grzecznie milczałem, a towarzystwo złączyło się końcami palców i objęło nieszczęśliwy stolik. Nieklaszewicz zabrał się do téj czynności, z takim, jeżeli tego wyrazu użyć wolno, namaszczeniem, z takim woli napięciem, że podwójnie stał się straszny. Oko jego jedno wyszło zupełnie na wiérzch, drugie zaciągnęło się powieką, usta przechyliły i zacięły skrzywione poczwarnie, policzki ściągnęły w jedną stronę, a blade wielkopalczaste ręce z góry wpięły się w stół, jak szpony jastrzębia w nieszczęśliwe kurczę...

Nic mu nie brakło do fizioptomji czarownika.

Głuche milczenie przerywane tylko szumem wicheru i wyciem burzy panowało w pokoiku, przez którego jedyne okienko przelatywały błyskawice to żółte, to czerwone, to sine... Scena poczynała nabierać fantastyczności... a ja nie mając co robić i chcąc oczy odwrócić od Nieklaszewicza, którego fizys mnie męczyła jak zmora nocna, począłem przyglądać się stolikowi męczennikowi, będącemu właśnie pod władzą magnetyzujących.

Sprzęty które nas otaczają, mają wszystkie fizionomię jakąś nadaną im przez myśl ludzką co ich dokonała, lub przez długie ich użycie. Stoły, kanapy, krzesła nasze, byle im się przypatrzeć uważnie, każdy z właściwym przedstawiają się nam charakterem; znam między niemi arystokratów, znam birbantów, widziałem indywidua łagodne i burzliwej dyspozycji. Są sprzęty do których przywyknąć nie podobna tak są nietowarzyskie, są inne przylepki z którymi odrazu jesteś jak stary znajomy. Toż co z ludźmi.

Stoliczek o którym mowa, znać przeniesiony do Monplaisir z dawniej rezydencji podkomorstwa, ze starego ich pałacu, nie był już wcale młody, a budowano go w czasach gdy wszystko robiło się na gre-

ckim smaku. Miał też coś niby trójnogowego, jakieś ornamentacje w stylu grecko-rzymskim, i choć odarty, odrapany, poklejony, z poodskakiwanym miejscami forniem, pachniał jeszcze pałacem.

Niewiem z jakiego drzewa zrobiono go pierwiastkowo, ale po wierzchu okryty był mahoniem, trochę bronzu, a u spodu ponad trzema jego nóżkami związanymi w pośrodku, artysta przykleił trzy główki sfinxów z twarzami niewieściami, koloru zielonego bronzu... Te trzy główki na których zielona masa połuszczyła się tu i owdzie i biały gips z pod spodu jój wyglądał, miały wyraz spokojnej powagi i tę piękność pospolitą, zimną, jaka zwykle cechuje naśladowania sztuki greckiej.

Siedzieli dość długo czarnoksiężnicy nad biednym stoliczkiem, który się w początku ani ruszył, po kilkunastu jednak minutach zadrgnął konwulsyjnie jak gdyby się chciał wyrwać z ich rąk, zakołysał, poruszył... Nieklaszewicz przycisnął go lepij jeszcze i usta zacisnął mocniej, a oko przymrużył...

— Kto jesteś duchu? spytał pan Henryk..

Jakoś i burza trochę ustała na chwilę, a podkomorzy usłyszawszy pytanie, odwrócił się od okna w które patrzył...

— Kto jesteś? powtórzył pytanie magnetyzujący.

Patrzałem w tej chwili na twarz Nieklaszewicza, usta mu zadrgały jakby intencją uśmiechu...

— Kto jesteś? po raz trzeci ozwał się pytający.

Stolik co miał stukać nogą, czy rady Nieklaszewicza posłuchał, czy lichy go tam wie co mu się zamarzyło, zdawało się jakby doprawdy zcicha mruzczeć coś począł.

Wszyscy nastawili uszy, podkomorzyna zbladła, panna Celestyna drgnęła, pan Henryk osłupiał.

Wyraźnie z pod stoliczka szmer, jakby zdaleka pomiesznanemi głosy kilka razem osób mówiły, dawał się słyszyć ku nam zbliżając...

Obracający stolik patrzali po sobie, jeden Nieklaszewicz ani mrugnął.

— Kto jesteś? spytał przyjmując na siebie obowiązki pana Henryka, który zaniemiał...

— Źle pytacie! źle pytacie! dał się słyszyć głos cichy ale wyraźny...

Podkomorzy i ja, jakbyśmy uszom wierzyć nie chcieli, zbliżyć się poczęliśmy powoli...

— Źle waćpanowie pytacie! powtórzył stolik.

— Jakże pytać mamy? przerwał ośmielając się pan Henryk.

— Kto jesteście, rzekł stolik...

— Dlaczego? podchwycił pan Henryk.

— Bo nas kilkoro...

Gdy to się wyraźnie i coraz wyraźniej o uszy nasze obilo, podkomorzy pobladł, a całe towarzystwo znalazło się w najprzykrzejszem w świecie położeniu.

Proszę sobie wystawić grono niedowiarków którymby nietościwa ręka rzeczywistości cudem oczywistym dała w twarz nagle i niespodzianie.

— Któż teraz z was za ten stolik gada te głupie żarty, rzekł podkomorzy ruszając ramionami.

— Ale na honor papo, głos wychodzi zpod nóg naszych! odezwała się panna Celestyna bledniejąc...

— Pierwszy tego rodzaju fenomen, dodał pan Henryk... ale dla ducha nic nie ma niepodobnego. Mogę papie dać słowo honoru... że nikt z nas ust nie otworzył... tylko mu nie przerywajmy...

— Nie przerywajmy! powtórzyli wszyscy, a ja bojąc się podejrzenia o podpowiadanie, jak to bywało w klasie między uczniami, odsunąłem się w sam kąt pokoju.

— Kto jesteście! odezwał się pan Henryk z powagą zasiadającego na indagacji sędziego...

Trochęśmy na odpowiedź czekać musieli, aż głosik zpod stołu znowu się dał słyszyć wyraźny, ale cichy, póki się nie rozgadał nie wprawił i nie wzniósł coraz wyżej.

— Duchy na pokucie!

Na to słowo podkomorzyna jeszcze bardziej pobladła, podkomorzy głową pokiwał i ramionami ruszył.

— Jest nas tu siedmioro... trzy duchy mieszka-
jące w trzech nogach, czwarty w blacie na wierzchu,
piąty w karuku, szósty w éwieczku którym prze-
szłego roku połatano złamany bronzik, siódmy w ka-
wałku bronzu... jest nas siedmioro...

— Suto ich tu widzę! rzekł do siebie podkomo-
rzy...

— Kto jesteście, mówcie z kolei, zawołał pan Henryk.

Znowu musieli się duchowie naradzać, czy może po naszymu ceremonjowali się kto z nich pójdzie przodem, ale nareszcie któryś z nich odezwał się powoli.

— Ja jestem Jan...

— Nazwisko?...

— Zrzuciłem z ciałem... u nas nazwisk niema. Jan się za życia zwałem; na naszym świecie nie pytają kto cię rodzi i czem się zwiesz... ale co przynosisz z sobą...

— Wszędzie się wciśnie ta demokracja! rzekł pochichu podkomorzy.

-- Radzibyśmy wiedzieć coś więcej... przerwał pan Henryk.

— A! możecie odpowiedział duch ze stolika qu'a cela ne tienne!

— Dobrze wychowany! zdziwiona dorzuciła panna Celestyna...

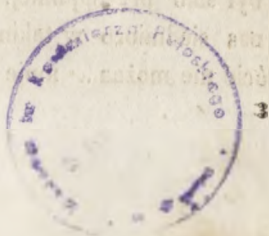
— Cyt! cyt! nie przerywajcie!

I zbliżyliśmy się w milczeniu podziwu i ciekawie oczekując co z tego dalej będzie, a ja spojrzawszy na Nieklaszewicza, chciałem wybadać co się z nim działo, ale żaden kuchta z zimniejszą krwią nie urzynałba kurczęciu, jak on gadał ze stolikiem... Na jego twarzy ani zdumienia, ani zajęcia, ani znaku życia, podniecanego tak nadzwyczajnym fenomenem, siedział ciągle rozpięty z ustami w stół wpojonemi, z o-

kiem wytężonem, z ustami zakąszonemi... chłodny, nieporuszony, jakby najpospolitszą w życiu spełniał funkcję. Stolik tymczasem rozgadał się w ten sposób.

[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page]

Trapezologjon.



IV.

— Trzeba żebyście państwo wiedzieli, jaki los wszystkich was czeka... jeśli, o czem nie wątpię, przyjdzie wam po śmierci pokutować za grzechy żywota... Łaska to wielka kogo posła do czysca in fundo, gdzie choć nie wyśmienicie, ale zaciszno przynajmniej i człek nieustannie na oczach nie ma światła na którym dokazywał głupstwa i grzeszył z dobrą wiarą że mu się to nie policzy... Najczęściej, jak mnie i kolegom moim, dostaje się odkomenderówka na ziemię, między swoich i kwatery ciasna, a niewygodna, jak mnie naprzykład w stołowej nodze! Żebyżem był sam przynajmniej! ale proszę sobie wystawić nas siedmioro w takim spręciku, w którym się obrócić nie można... mnie com pół życia spędził

na podróżach, po Europie, po Wschodzie, po powietrzu, wodzie i ziemi, szalenie tu ciasno i duszno! Nic nie powiem o sąsiadach przez dyskrecję, ale mogli mi się byli dostać ludzie mojego towarzystwa, wychowania i sfery... a tu...

Duch jakby wstchnął i mówił dalej.

— Siedmioro nas siedzi w jednym stoliku, czworo w ekramie przy kominku, po sześciu i siedmiu w krzeselkach, a w podłodze i nie policzyć...

— A! do licha, odezwał się podkomorzy, otoczemi więc jesteśmy duchami!!

— Wszędzie nas pełno, pokutują niektórzy po garnuszkach i kładyszkach ekonomowój, nie dawno jeden literat zesłany został do kałamarza prowentowego registratora; wiem o moim znajomym, *un bien bon compagnon* który poszedł do siekiery stróża... szczęście że to czasowe... ale nudne!

— I pókiż to trwa?...

— *C'est selon!* rzekł duch, jak dla mnie naprzykład będzie to trwało dopóki nie uznam że chronologia Manethon'a, nie lepszą jest od biblijnej...

Słuchacze niebardzo zrozumieli, ale ja nastawiłem ucha, bom poznał z kim miałem honor mówić i zbliżyłem się mocno zaciekawiony.

— Dla literata mieszkanie w kałamarzu pisarza prowentowego może się przeciągnie dopóty, dopóki zasługa tego oficjalisty tak skromnego nie przeważy grzechów pokutnika! Nie przewiduję w istocie kiedy kałamarz uwolni się od kwaterunku; biedny za każdą kroplą którą z niego biorą, patrzy czy tam się co pocziwego nie napisze... ale darmo!

— A o sobie nam nic nie powiesz Janie? zapytał pan Henryk, który chciał przyspieszyć ciekawą historję...

— Kiedyście mnie wyciągnęli na gawędę, na którą kilkadziesiąt lat czekałem, chciejcież mnie posłuchać cierpliwie... lub *passer a un autre*... O i ciężka nasza pokuta! czujemy wszystkie głupstwa nasze, patrzymy ciekawie na cudze, każdy odosobniony kręci się jak wiewiórka w kółku swoich przewinień i trawi niemi póki nie przetrawi zupełnie... Świat nas otacza nie widząc, a my skazani jesteśmy słuchać go, patrzeć nań, choćbyśmy ciemne głębiny nicości woleli może, niżeli ten widok obrzydły! Dramat życia obija się o nas i rani... inni toną w ciemności i milczeniu głuchem, bo i tu różne są losy.

— Zdziwicie się może gdy wam powiem, że za

żywota, byłem potomkiem jednej z najznakomitszych rodzin w kraju... a dziś siedzę na pokucie w stołowej nodze... ale życie moje dziwniejsze może od pośmiertnego losu. Dziecię rodziców których imię samo stawiało w kręgu społecznym, do którego innym docisnąć się trudno, znalazłem się odrazu u szczytu mając wszystko o co się inni dobijają pracą, łzami i ofiarą. Wszystkom miał prócz jednej, jednej rzeczy maluczkięj, a téj brak za życia i po śmierci męczennikiem mnie czyni!! Przyszedłem na świat wiek prawie temu w koronkowych pieluchach, w mahoniowej kolebce poczynając życie od nieznośnych boleści. Za ledwim wyjrzał na świat i uśmiechnął się do niego, za ledwim wyciągnął rączki ku złocistym obrazom uderzającym oczy tylko co otwarte... zwiędło mi i szerniało wszystko! Jeszczem chodzić nie umiał, a biegać się silił, gdy mnie schwycili mistrzowie usiłujący rozumnego starca uczynić z gorącego i niecierpliwego dziecięcia. Nie zostawiono mi nic do zgadywania, nic coby ludzi mogło; ledwim pojmować się uczył, a już poezję méj duszy tłumaczono na pospolitą prozę, śmiano się z uczuć, by im się nie dać rozwinąć; krępowano zmarzłemi powijkami praktycznej filozofji ówczesnej. Byłato chwila

w której wszystkich czyniono synami natury z warunkiem by uczuć naturalnych nie okazywali. Jak dla Emila Russa nie było dla mnie tajemnic, nic mi niedozwolono odgadnąć, niczem się wmarzyć w świat, odrazu odsłaniano przepaść bez dna, i mówiono że jest niezgłębioną.

Pierwsze kroki moje nie poczciwi, dziecinni a pełni czucia ludzie co mnie kochali, ale płatni cudzoziemcy stawiać mnie nauczyli. Zrobiono ze mnie w dziesiątym roku życia filozofa i francuza, a na wczesny, aż nadto wczesny rozkwit mój, który nie zabiwszy serca wszczepił w nie tylko chłód i niewiarę jako prawo bytu i świata... zdumiewali się otaczający i okrywali mnie oklaskami. Na tronie mieliśmy wówczas filozofa i francuza... który się także zdumiewał nademną i wielką, wielką prorokował mi przyszłość!!

A! a mnie tak źle, tak ciężko, tak boleśnie było być tém cudowiskiem! Jam nie znał ani dzieciństwa, ani młodości, ani marzeń, ani zdumienia które rozkoszą napelnia nas na żywot cały... jam się nie mógł zdziwić niczemu i głowem łamał czego zażądać.

Na rękę rodzicom i mistrzom Bóg mi dał taką łatwość nauki, takie jój pragnienie, zem pił a pił

z otwartych źródeł, nie oznajmując ani upojenia, ani znużenia ani przesyty. — Wkrótce żądza wiedzy zabiła we mnie inne! w czternastu leciech paliła mi się tylko głowa nauką, a serce już było zastygło na zawsze... Czytałem Dupuis, Voltair'ea, Volney'a i Rousseau i dzięki im w nic nie wierzyłem, w nic wierzyć nie mogłem. Wyszło we mnie źródło wiary, ale miejsce z którego płynąć było powinno, pozostało jak niedogojona blizna, jak wypalona i paląca rana.

Nie miałem pragnienia wzniesienia się, ani chęci użycia świata, ani namiętności innej prócz wiedzy, prócz nauki... Brak wiary sprawiał we mnie to pragnienie nienasycone, bom nie wiedząc sam o tem, szukał u ludzi, czego w zamkniętem dla mnie i pustem niebie nie było... Byłem jak człowiek co siedząc pod studnią, nie chce wierzyć że w niej jest woda i usty spalonemi wysysa piasek przejęty rozlanemi jej ponikami.

W siedmnastym roku, już mi życie obrzydło, już mi kąt rodzinny zdał się nudnym i jednostajnym, już schwyciła gorączka podróży, która trawiła mnie do ostatka. Obiecywano sobie po niej dla młodego wykształcenie nowe, i pobiegłem na południe chci-

wy poznać o czem marzyłem, jak gdyby świat nowy, nową dać mógł duszę! W początku oczy moje szukały obrazów, niepokoily się niemi, spoczywały na nich badając w nich słowa wielkiej zagadki, ale głuchemu nie mówiło niebo Włoch, Sycylji, Hiszpanji, południa tego czego mu chmurny horyzont północy powiedzieć nie umiał. Znużyłem się wkrótce i z krajobrazu oczy zwróciłem na księżę, z żywego na umarłe... trzeba było utopić w czémś życie, pogrzebałem je w nauce.

Podkomorzy ziewnął w tem miejscu opowiadania, ale duch zamknięty w stoliku nie zdawał się na tę niegrzecznośćkę zważać i mówił dalej.

Dwudziestoletni poleciałem na wschód, do kolebki ludów, na ziemię uświęconą podaniami i odkupieniem, szukając w niej znowu słowa ludzkości... a znajdując skaliste pustynie, zamarłe morza i skamieniałe pamiątki na których świętości, niewiara moja kładła swój hieroglificzny znak zapytania... Błądziłem wśród ruin, chwytając wśród nich zapadłe jeszcze gdzieś powieści i pieśni, aby z nich wyciskać nowe argumenta przeciw sobie samemu. Życie tak mi już było obojętnem, żem je ważył bez innego celu prócz rozrywki, prócz nabycia trochy o-

ryginalności, której zresztą cechę nadać mi mogła pierwsza książka w obcym języku o podróży mojej wydana.

Ta mała książeczka pasowała mnie na błędnego rycerza myśli, na rodzaj Donkichota w mojej sferze towarzyskiej.

Urodzeniem i mieniem byłem wielkim panem; a żaden z moich przodków hetmanów, wojewodów, kasztelanów, nie zwał się jak ja dziełem wydanem bez celu politycznego, bez myśli innej nad wypowiedzenie swych przygód i marzeń. Niejeden z nich napisał może orację, głos tajemny, powinszowanie lub komplement, niejeden wystudjował pozew lub replikę w procesie z sąsiadem, ale żaden pewnie nie przyjąłby bez skrzywienia propozycji wpisania się w poczet gryzpiórków! Darowano mi te jednak brednie, bom pisał po francuzku i po francuzku myślał... Ale raz skosztowawszy atramentu i upiwszy się trochę kadzidła, zostałem pijakiem atramentowym na zawsze. Stan mojej duszy, próżnia którąm czuł w sobie, potrzeba czynności i ruchu, a wstręt do życia praktycznego w którym nic dla mnie pociągającego nie było, przyczyniły się do popchnięcia mnie tą drogą.

Wyznacie, że nie mogłem być wszakże pospolitym pisarzem, co gryzmoli, drukuje i słucha co tam o nim mówią...

Uczoność moja o której przekonani byli wszyscy gdy miał lat piętnaście, podwojona podróżami, nie ulegała już wątpliwości ani kontroli, dzieła jój sławę podtrzymały... Mimowolnie zaprząwszy się z nudy, wyprządz się już nie mogłem i nie chciałem, bo cóżbym robił? Ożeniono mnie wówczas z jedną z najpiękniejszych kobiet jakie mi to panowanie świetniało, z jedną z tych istot przed którymi kłękają tłumy, a które dlatego może, nie ukochają nikogo, że uwielbiane są przez wszystkich. Cudnej piękności księżniczka Julja, była jak ja dziecięciem, któremu z młodu serce wyjęto, by na nie cierpieć nie mogła. Spotkaliśmy się z uśmiechem, poznali jak przeznaczeni dla siebie, podali ręce z przyzwoitości, pokochali trochę i rozłączyli żartując sami z siebie, gdy ła niespodziana zakręciła się pod powieką. Kiedym ja leciał od pięknej Julji w nowe podróże, wyprawy, niebezpieczeństwa, ona swym tańcem i oczyma ściągała na każdy bal roje młodzieży i szalone okłaski... Możebyśmy się w końcu byli mogli pokochać miłością prostą, szlachecką, ludzką, gdyby nie pań-

stwo nasze, gdyby nie świat, nie ludzie i to zawczesne zużycie, które nam nie dozwalało upić się żadnem gorętszem uczuciem.

Mogłem być dumny Julją, jej wdziękami, jej głową, jej dworem wielbicieli, mogłem być zazdrosny, mogłem być zakochany... pozostałem chłodno uczonym i sceptykiem nawet w małżeństwie. Julja moja przebiegała ulice Warszawy z księciem Józefem w angielskim *whisny* którym się cudnie powoziła, a ja z Blanchardem puszczałem się balonem na złamanie karku, w tureckim turbanie, z francuzkim w sercu chłodem.... Spotykaliśmy się wieczorem w towarzystwach, gdzie oboje zbieraliśmy palmy ja oryginalności mojej, ona piękności i młodości. Nie miałem czasu ani kochać, ani żyć pospolitym chlebem powszednim, musiałem na wzburzonym morzu, w powietrzu, wśród niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju życia osnutego raz dokonywać; ale pojąc wyobraźnią, serce, zmysły, pamięć, nużąc ciało, mącąc głowę czułem się zawsze, zawsze nieznośnym sobie, a próżnia mnie paliła. Jak w otchłań Danaid lała się wiedza, nauka, doświadczenie, i wylewało otworem którego żadna wiara nie zamknęła...

Smutny spuściłem głowę... pobiegłem na Wschód

raz jeszcze... jeszcze dalej, jeszcze głębiej, sądząc że niebezpieczeństwa cenę mi życia ukazą, i smaku dodadzą, ale hańba już była nieuleczoną.

Julja umarła wśród oklasków... wśród tańca... a jam i płakać już nie potrafił. Śmierć nauczono mnie zdawna obrachowywać jako niezbędną konieczność; zamysliłem się tylko, co to jest życie?

Tu duch zdawał się nagle powracać do właściwego mu charakteru i z szyderskim wyrazem dodał:

— Szukałem odpowiedzi na to pytanie, po całym bożym świecie, pytałem o nią w Astrachaniu i Kairze, w Konstantynopolu i Madrycie, w Paryżu i Petersburgu, nad Jaikiem i Nilem, pusty świat milczał a milczał!!

Ale ja państwa nudzę! spytał duch po chwili, tym obrokiem duchownym. Revenons à nos moutons jak powiada p. Deshouilleres lub à nos bouteilles jak mówi Rabclais. Rozpocząłem na nowo podróże uczzone bez końca i wydawanie dzieł które wychodziły po pięćdziesiąt i sto egzemplarzy i dziś być muszą niezmierną rzadkością, co mnie nadzwyczaj cieszy; bibliografowie przepłacają je na wagę złota... Cha! cha! Byłem pewny że mnie renoma oryginalności nie minie!! Jedyłą jeszcze stroną niesparalizowaną

we mnie, była chętką sławy; — z téj strony czułem że mi czucie pozostało i dogodziłem ostatniej namiętności, jakim dogadzałem każdą w życiu fantazji. Przedmiot moich badań postawił mnie odrazu wysoko, sumienie z jakim je dokonywałem podwoiło ich wartość, mała liczba egzemplarzy zwróciła na nie oczy, a sceptycyzm zjednał mi honor, że taki człowiek jak de Maistre pragnął mnie nawrócić!

Wypadło mi się drugi raz ożenić: — kobieta którą wziąłem, była najzaciejszą z istot, piękną, miłą, cnotliwą, ale dla mnie odrazu obojętną. Wszystko mnie nudziło nie wyjmując żony, której jednak niewielem pilnowałem, z wozu na wóz, z wozu na koń, z konia na okręt się przesiadając...

Kto inny z tego życia wątku, byłby sobie uzyskał szczęście, jam snuł i prządał niedolę, rozpacz i najnieznośniejszą z exystencji. Wystawcie sobie państwo życie z duszą bijącą się pod czerepem czaszki, wielką, silną, gorącą, a bez wiary w byt, w duszę, w Boga i nieśmiertelność, w siebie samą. Jestli co straszniejszego nad to? Lada przypadek, trącenie, uderzenie, pęknięcie jednego włoskowego organu i taż wieczna nicość po exystencji która liczyła i pojmowała światy, wspinała się do ich przyczyny i po

bliznach ziemi rachowała jój lata!! Nie zostawało mi nic, jeno zbudować sobie głupią, nikczemną nieśmiertelność sławy... na tęp pracował...

Tonąłem i tonąłem w księgach, w zaciekaniach, w studjach, w liczbie, w literze chłodnej, a gdy znudzony śmiertelnie, poczułem pragnienie napoju coby ochłodził, puszczałem wodze fantazji i budowałem światy w powieściach, których osnowę plątałem z chorobliwych mózgu przypomnień i zjawisk niezrozumiałego dla mnie świata.

Niezrozumiałego, powiadam, bom nigdy widzieć nie chciał odwrotnój strony medalu, życia po życiu, nieśmiertelni po śmierci. Jam w nic nie wierzył, w nic! byłem jak pozbawiony słuchu człowiek, któremu wielka muzyka wydaje się dziwactwem, bo widzi ją tylko, a uszu jego nie dochodzi, i tych co jój poklaskują ma za szaleńców.

Smutne to było życie, choć mogło być szczęśliwe, i opływało we wszystko; ale gdy od księgi, od towarzystwa, od gwaru i szermierstw myśli i języka przyszło na chwilę zostać samemu z sobą, sam na sam z duszą... o! o! mówiłem sobie straszniejsze pytania w monologach rozpaczliwych, niż Hamlet na Shakespearowskiej scenie!

Pamiętam jeszcze tę chwilę... był to dzień wrześniowy... leciałem z Kairu do Gizeh dla obejrzenia wielkich piramid, które do mnie przemówić miały głosem lat tysiąca i tysiąca pokoleń...

W Gizeh ujrzałem te olbrzymy które mi się małemi wydały, tak je już naprzód wyobraźnia moja powiększała... zbliżyłem się nareszcie prawie ostygły i upadłem znękany febrą, upałem i myślą własną pod stopami największej z piramid. Jeszczem miał siłę tylko żelaznym stylem wyryć wiersz Delila na podstawie, a gorączka podziwu z którą biegłem do stóp olbrzymiego dzieła ręki ludzkiej, ostygła.... Umysł mój walczył już nie poddając się wrażeniu, i zimno rachował uściski córki Cheopsa, które płaciły za kamień każdy piramidy,.. Rachowałem, Herodota trzymając na kolanach, gdym patrzeć był powimien i dumać... mierzyłem, rysowałem, badałem, gdym z milczenia tego olbrzyma nad którym lat trzy tysiące przeleciało, powinien był się nauczyć nicości żywota i ziemi.

O! pamiętam tę chwilę stanowczą, gdym zastukawszy do serca mego, znalazł je w obliczu cudu ręki ludzkiej tak chłodne i zastygłe jak było na widok dzieł Bożych... Pod brodą Sfinxa siedziałem nie ptyając go o słowo wiekuistej zagadki.

Całym owocem podróży było pół przepalonej twarzy i febra którą mnie nabawiło słońce, znużenie, może uczucie głębokiego smutku, gdym i tu martwym, na wieki martwym się poczuł.

Takie było całe życie moje: szukałem zajęcia, pociechy, pokarmu, a nigdzie go nie było dla mnie. Byłem winien? nie, bo w dzieciństwie jeszcze extyrpowano ze mnie wiarę, jak niebezpiecznemu zwierzęciu zęby wyrywają... Płakałem czując jej potrzebę, a wypracować w sobie nie mogłem... bo wiara się nie nabywa, bo ona drogim jest darem... bo nie pracować na nią, ale modlić się było potrzeba.— Tymczasem, żeby państwa długo na jednej nodze nie trzymać, dodał duch, dopowiem reszty bez deklamacji, której, proszę wierzyć, dopiero nabrałem siedząc w tej nodze stołowej, z nudy i odosobnienia...

Trochę wojując, podróżując wiele, bo i do Chin raz dotarłem, rysując, pisząc, bawiąc się w literata, poetę, romansopisarza, artystę, naturalistę... żyło się jakoś, ale życie straszliwie zdało się długie i ku końcowi coraz ciemniejsze. W młodości był jakby promyk nadziei, czasami zabiło coś jeszcze w piersi choć słabo, stawałem się człowiekiem na chwilę...

później i te chwile słoneczne na wieki mi znikły.— Praca nużyła, a nie nasyciała, nie miałem wiary nawet w to co mój jedyny przewodnik — rozum mi dyktował.

Rzucałem się jak zwierz w klatce, któremu ciasno choć się na drugi jej bok przerzuci, myśl rozbiła się o ściany więzienia zbudowanego na wieki dla mnie; ze stolic na wsie ze wsi do grodów uciekałem przed sobą, ażeby z sobą nie być, zabijałem się pracą. Nareszcie ani rodzina ani dzieci, ani sława, ani poszanowanie siebie samego nie mogły mnie dłużej na tym świecie powstrzymać, wszystko mi obmierzło; w duszy méj tak było pusto... tak pusto!... pytałem się nieustannie o cel wędrówki? o przyczynę męczarni, o użytek cierpienia, o cel walki? a cisza grobów odpowiadała mi tylko...

Trzy dni tępym nożem odpiłowywałem, głęboko myśląc, gałkę cynowej cukiernicy stojącej na moim stoliku. Dziwna rzecz! od jej wielkości los mój i życie zależało, powiedziałem sobie że się zastrzelę, jeśli ta gałka wnijdzie w stary pistolet mój podróżny, który na kominku leżał!! Kiedym ją odciął, kiedym do rurki przykładał, zadrzałem choć życie nie było dla mnie ofiarą... dłoń mi się paliła kiedym

broń nabijał... Nareszcie miałem ująć le grand peut-être!

Śmierć zamknęła wreszcie czterdziestokilkoletnią wędrówkę... Zbudziłem się w nodze stobwój skazany na medytację nad chronologją Manethona... i sobą samym, ściśnięty w martwój celi... z którój mnie państwo przemawiającego słyszycie! Gdyby choć los był mnie z tym stolikiem postawił tam, gdziebym coś ludzkiego mógł usłyszyć, ale u podkonorzego...

— A to impertynent! zawołał podkonorzy, ale dosyćcie tego.

Ale głos ducha mimo protestacji gospodarza, nie dał się zagłuszyć i niebezpieczny pokutnik mówił dalej.

— Żeby co czytał i żeby mi co ciekawego kiedy powiedział? ale być świadkiem...

Podkomorzy chrząknął i to nie pomogło.

— Umizgów starego...

Podkomorzyna krzyknęła, ah! Panna Celestyna zerwała się zarumieniona od stolika, pan Henryk rozgniewany próżno usiłował ją powstrzymać, tylko Niekłaszewicz został rozpięty nad blatem jakby skośnie nad tą inwokacją magiczną.

Stolik już tak się rozgadał, że nawet zerwanie łańcucha gęby mu stulić nie mogło.

-- A! jak nudno u tego podkomorzego, który udaje młodzika, dodał szparko...

— Mości dobrodzieju! ale dosyćże tego! zawołał podkomorzy, wstań Waćpan panie Nieklaszewicz...

— Ta Henrysia...

Na tem przecie spowiedź ducha się skończyła, który równo z posłusznem Nieklaszewicza odstąpieniem, urwał mowę.

V.

Niespodziewany fenomen któregośmy byli świadkami, jeszcze nas trzymał w osłupieniu, a gospodarza rozpałał gniewem, kiedy pan Henryk którego cała rodzina słuchać widać była przywykła i za wyrocznią uważała, odezwał się szybko:

— Ale to potrzeba korzystać z dnia, z godziny, z usposobienia własnego, z tej dziwnej siły którą może burza, jakiś tajemniczy organizacji związek nam daje... możemy się najciekawszych rzeczy dowiedzieć... siadajmy.

— Henryku! przerwał oburzony podkomorzy, to jakaś filuterja, czy zresztą... zresztą... poprawił się, kat was wie co... ale jeżeli mamy dowiedzieć się znowu jakichś potwarzy na mnie....

Podkomorzyna ochłonawszy już z wrażenia ziewała, co ujrawszy gospodarz, jakoś się uspokoił także uśmiechać począł do mnie z niej ką chlubą starym rozpustnikom właściwą, którzy radzi są gdy ich o bałamuctwo posadzają.

Pan Henryk chciwy nowych cudów, korzystał z tego usposobienia i począł naglić.

— Niestety! wpadli, rzekł na jakiegoś ducha sceptyka, który kondolencjami swemi bałamucił, ale spróbujmy no z innej nogi, wszak ich w stoliku ma być siedmioro, siadaj panie Nieklaszewicz, Celciu, proszę ciebie! spytamy o przyszłość mamę kochaną... nie odmawiaj...

Panu Henrykowi wszystko ulegać było przywykło i choć podkomorzy nosem kręcił, znowu się łańcuch sformował, znów w milczeniu, w oczekiwaniu zasiedli magnetyzujący. Po pewnym przeciągu czasu, dało się słyszeć długie i przeciągłe ziewanie,

Spojrzeliliśmy po sobie.

— Kto to ziewnął? zapytał niedowierzający podkomorzy.

Wszyscy zaprotestowali.

— Naturalnie stolik! tryumfująco rzekł pan Henryk i dodał szybko, kto jesteś duchu?

— He? he? odparł głos z drugiej nogi.

— Przygłuchy! pewnie stary, i nie nam ciekawego nie powie, zawołała panna Celestyna, która do starych nie miała nabożeństwa.

— Cyt! Celsiu! Kto jesteś duchu? powtórzył elegant.

— A Asindziej?

— Ceremonjant! każe się sobie wprzód rekomendować! rzekła jęjmość, a pan Henryk znowu pytanie swe rzucił.

— A! dalibyście mnie pokój! a co tam chcecie? Kajetan! no! Kajetan!

— Nazwisko?

— Gdzież u nas nazwisko! co za nieuk! nie znasz naszego świata, zaraz ci może i genealogji potrzeba? he? Miałem matkę i ojca o czem asindzieja zapewnić mogę uroczycie i urodziłem się z błogostawieństwem, z prawem przyjscia na świat, jak się należało, nawet jakiegoś *icza*, czy *ica* przyniosłem sobie zaraz... Ale czego chcecie odemnie? niedość siedzieć w nodze stołowej plecami do jakiegoś uczonego który śmierdzi pleśnią i pali mnie niewiarą jak kamieniem piekielnym, jeszcze na zawołanie lada fircyka, będę im bajki gadał!

— Nie obrażaj się mój kochany Nieklaszewicz przerwał pan Henryk, który fircyka do siebie wziąć nie chciał, i zrzucił go na towarzysza.

— Chcemy się z twój historji nauczyć czegoś, dodał, nie próżna to zabawka...

— Bałamucisz asindziej, rzekł duch, bałamucisz... Kto to się z cudzego doświadczenia nauczył, choćby na gorące dmuchać? potrzeba się sparzyć, to dopiero uczy! a co się tycze życia mego, *ab uno disce omnes* wszak wam tam już jeden coś plót!

— Łacinnik, szepnął podkomorzy, człek starego etatu, głupstw gadać nie będzie — chwala Bogu! I zbliżył się do stolika.

Chwilę milczenie trwało.

— Jeszczem się nie wysapał po męczącym życiu, jeszczem nie odespał nocy przebulanych, a ci ichmoście każą mi się bawić jakby sobie chrząszcza złapali na szpilkę? A chcecie wiedzieć ktom był? No to powiem! Za to siedzę w stołowej nodze żem życie zjadł w kaszy, zrozumiałej mówiąc, caluteńkie prześwi stał, wierszem, prozą, dowcipem, rozpustą, i umarł przed czasem.

— Henryku! rzekł schylając się podkomorzy do ucha synowi, gotów przy Celsi głupstwa jakie prawić, możeby mu dać pokój.

— Celsia uda że nie rozumie, odparł uparty magnetyzer równie cicho, a to się obiecuje coś ciekawego.

Duch ziewnął po raz trzeci...

— Trzeba wam wydzwonić życie moje! No! no! słuchajcie, widzę że się wam nie wykupię niczem... Jakem się urodził, wiecie, jakem do szkół poszedł domyślić się łatwo, ale nie myślcie żeby mnie pod bizun księży i ich łacinę oddano... od pieluch zamalowano mi gębę francuzczyzną, bom miał nadzieję przez stryja ciotki nieboszczyka dziada, zostać przyjęty za pazia na dwór króla Stanisława... Byłem młody, ładny, szlachcic, i dowcipny, mogłem pójść da-eko... zaszedłem na smętarz tylko. Ale nie łapmy ryb przed niewodem.

Muszę naprzód oczyścić się z podejżenia, jestem pewien że i mój poprzednik, duch z nogi pierwszój, który wam się spowiadał, musiał winy swoje zwalić na kogoś, nie myślcie żebym i ja tego niepotrafił zrobić; myśmy tak pono jak w turmie zbrodniarze, z których każdy zaczyna swoją powieść od tego, że nic nie winien... Otóż i ja niewinien jestem wcale, że w stołowej nodze siedzę i siedzieć będę póty, póki mojej ody do Priapa, epigrammatów

et sic porro na świecie nie stanie... A ode tę zna-
cie? z uśmiechem duch spytał.

— O ho! jakże nie!! wyrwał się śmiejąc podko-
morzy, to ten filut Węgierski!

— Wystawcie sobie ichmość, dodał duch żywo,
siedzieć na pokucie jak ja, a być zmuszonym prosić
w duchu, żeby pamięć dzieł moich zaginęła, bo ina-
czej uwolniony nie zostanę. Z jednej strony w tej
kwaterze bardzo mi niedobrze, z drugiej nie chcia-
łoby się żeby o mnie ludzie zapomnieli... Między
młotem a kowadłem!! Ale o czemże mówiliśmy?

— Żeś wacpan panie szambelanie nic nie winien.

— Bodaj was z szambelanem! a! długo mi jesz-
cze widzę przyjdzie tu odsiadywać rekolekcje! Ba!
ale *bonne mine à mauvais jeu...* nie moja w tym
wina! *ma foi!* Jakżem się paziem, wszedłszy na
dwór XVIII wieku nie miał popsuć?

Powiem wam jak mi się z dało życie w początku!
miałem twarzyczkę ładną, dowcip łatwy, *une certai-
re position sociale* nikt mi nie powiedział że to
są fraszki i bałamuctwa, wziąłem to na serjo i na
tem zbudowałem los cały. Jadłem życie łyżką i ca-
łą gębą, ale cóż, gdym jeszcze się nie dosmakował
go, jużem oskomy dostał. Dalej kpilem z siebie,

z drugich, z życia tego i grałem w karty! ta namiętność jeszcze mnie jakoś trzymała, inaczejbym się na śmierć zaziewał. Niekiedy robiłem sobie satysfakcję kpiąc i przypatrując się cudzym głupstwom, bo mi się świat wielki wydawał wertepem... to mnie także trochę bawiło... nie byłem nieczuły na applauzy ludzkie, miłość własna ostatnia podobno obumiera w człowieku i kiedy ta bić przestanie, nie pytaj już serca i pulsu, pewnie po człowieku! Ot jak się to żyło! ha! ha! Niezgorzój, póki było zdrowie, pieniądze, młodość i służyło mięso, ale jak się tego powoli przebrało, postrzegłem że mi się za kuso wybrał w drogę.

Przeżyłem dany mi zapas prędko i kiepsko; były w nim wprawdzie chętki dobrego, popędy szlachetne, oburzenie na złe, zachęta dawana cnocie, nigdy pióra nie sprzedał, nigdy zbrodni nie pobłążył, nigdy złotemu cielcowi nie bił czołem, i gdy w fioletach Naruszewicz błaznił się kadząc pod nos za lada łaskę, gdy czuły Karpiński stękał za instancją Justyny dopraszając się starostwa, gdy inni wyciągali ręce jak lirnicy nad gościńcem w czasie jarmarku, jam chłostał niepoczciwych, jam szydził z łajdaków, a schylałem czoło przed obywatelską cnotą mężów w kraju zasłużonych.

Ale to wszystko jeszcze zbawić mnie nie mogło: obok maluczkiego dobra, wielem zasiał złego piosnką plugawą, i ogryzki a odrobiny życia dawałem tylko sprawie powszechniej, gdym je całe poświęcić był obowiązany... Słuchajcie... wiecie zapewne choć główne wypadki mojego życia?

— Nie! nie, rzekł pan Henryk...

— Jakto? nic?

— Nic!

— Patrzcie! życie spelzło, a oda do Priapa została! w człowieku z ciała i mięsa ostatnie pruchnieją kości, w człowieku ducha i myśli ostatnie zapominają się występki jego!... A! będęż więc musiał wam je opowiadać.

— *Exécutez vous de bonne grâce!* odezwała się ze współczuciem jakiśś panna Celestyna.

— Cóż robić! muszę widzę, ale twardy orzech do zgryzienia...

— Gryźże go śmiało i prędko panie szambelanie, dodał podkomorzy, który także czuł jakąś sympatję dla tego nieszczęśliwego ducha.

— Zgryzę, zgryzę... Na wierszykach, na umizgach, na grze szalonej, upłynęły mi najlepsze lata lotem błyskawicy... kiedy mi przyszło kraj porzucić

i począć czynnym żywotem płacić za grzechy młodości, sił zabrakło... Piękne oczy trzymały mnie na uwięzi słabego, gdy działać było potrzeba, a naostatek gdym przejrzał że człowiek niezupełnie stworzony jest do kielicha i faraona, uśmiechów i gzów za parawanami, gdym miał dłoń przyłożyć do pługa by moję skibę wyorać... struna pękła, zabrakło życia, umarłem.

— Ale ba! zbywasz nas asindziej ogólnikami, przerwał podkomorzy.

— Czekaścież, czekajcie, tu się dopiero najciekawsze poczyna... Na łożu śmierci opuszczony od wszystkich, sam jeden, zapomniany, z gorzką myślą o tych co mnie opuścili... konałem... Pomiędzy dwoma żywotami na krańcach obu, gdzie się pierwszy kończy, a drugi poczyna, nim człowiek stanie przed sędzią, jest chwila w której sam w obec siebie się znajduje i rozdzielony z szaty śmiertelnej spogląda na siebie... Pókim żył, bardzom się jeszcze wydawał przezierając w zwierciadelku miłości własnej, przyzwoitym człowiekiem; myślałem sobie że niepodobieństwem jest iżby mi moich drobnych grzeszków za dosyć poczciwych uczynków nie przebaczone i *summa summarum* obrachowałem, że nie najgor-

sze znaleźć powinienem miejsce na lepszym świecie; ale za ledwie rozzułem się i zrzuciłem więzy, w tej chwili przejścia tak mi się jakoś inaczej wydały rzeczy, ażem się straszliwie przeląkł... moich tych drobnych prawda grzeszków, których brzemię nie sam, ale na wspólnkę z innemi dźwigałem. Znalazło się tyle, tyle i tyle, żem ich zliczyć nie mógł, a prawdziwie dobrych uczynków co się westchnieniami nie rozwiały i ciałem stały a czynem, tak się pokazało mało, mało... No! ale cóż było robić? Myślę sobie jeszcze po ludzku trochę: tam być muszą łaskawi, głupstwu przebaczą i t. p. Idę więc sobie, aż tu jakiś nieznajomy, poczciwego oblicza, zastępuje mi drogę i pyta kiwając głową:

— A waćpan to dokąd zabłądziłeś?

Uśmiechnąłem się dworsko...

— Jegomościuniu, a obejrż no się co na ramionach dźwigasz! nie tędy droga waszeci!...

— Za pozwoleniem, ośmieliłem się wyjąknąć, zdaje mi się... nie zabijałem, nie kradłem, a co tylko z dzieł Bożych i ludzkich było pięknem, wielbiłem... co było szlachetne, kochałem.

— Ba! to téż waszec do piekła nie pójdziesz zapewne, rzekł nieznajomy łagodnie, ale i do nieba

ci zawcześniej, tu idą uczynki tylko, a powiedz mi waść cóżeś zrobił?

Tak mnie zagadł, że mi zmilkł jak trusia ust przygryzłszy, żadnego z wierszy moich zacytować nie mogłem... bałem się nawet je wspominać z powodu że niejednaby się tam herezja znalazła; i uczynków innego rodzaju łamałem głowę: nic nie śmiałem wskazać: tak mi się teraz liche wydawały.

— Już to że waćpan milczysz, przerwał począwy nieznajomy, bardzo wiele za nim świadczy... no! no! pójdiesz na rekolekcje i pokutę... ale nie despruj przecie, jakoś to będzie! Jest tam rachmistrz nadole co z waszmościa zrobi obrachunek i wyznaczy t mczasową kwatere.

Ja tedy na dół, tłum ogromny, ledwie dostąpić: patrzę ów rachmistrz zajmuje się psychostazją... i waży dusze... Na jednej stronie szali kładnie dary Boże, na drugiej uczynki ludzkie i wedle tego jak co niedoważa, zaraz z kancelarji wydają bilety na tyśiąc, dwa, trzy tyśiące lat... rekolekcji w różnych miejscach.

Potępionych tu wcale nie było, a czynność odbywała się tak porządnie i szybko, że anim się oatrzył jak na mnie kolój przysła. Rachmistrz zawołał,

popatrzeć... i tuż posłańcy jego jak poczną znosić dary któremi mnie Bóg obsypał przy urodzeniu, tak szalę całą nałożyli do brzegu... Gdy przyszło na przeciwną misie kłaść uczynki, kiedy spojrzę, a tu niosą znowu ogromne pęczki ze dobrych chęci, aspiracji, zamysłów, ochotek, których stos nałożyli potężny, ale cóż z tego, kiedy przydawszy nawet parę grudek pocziwych uczynków moich, szala ani się ruszyła. Widzę, że źle... łązy mi się zakręciły w oczach i westchnąłem aż szala uczynków zadrgała, i druga zniżyła się nieco, tem jednym, jednym westchnieniem!!

Niemniej jednak gdy przyszło do wydawania mi biletu, napisano go w ten sposób, że sam nie wiem kiedy się z tej stołowej nogi uwolnię.... Chciałem prosić żeby mnie gdzieindziej wkwaterowano, ale tu sąd bez apellacji i tak dostałem się do stolika.

Wszyscy słuchali powieści nawpół ze strachem, wpół z jakimś niedowierzaniem, a podkomorzyna zadrzemała nawet nieco...

Duch mówił dalej.

— Wystawcie sobie co to za męka, tysiące lat... a! bo to być mogą tysiące, trawić się w sobie by oczyszczać z kałów ziemi i to co w życiu pozyskać

było można odrobiną pracy, tu trzeba po pyłku i odrobinie zdobywać. A wkoło ciemność, samotność i cisza i cisza!! bo któż ze świata żywych, sercem, modlitwą, westchnieniem, wiarą zakołacze do ciemnicy naszój!! Z tych cośmy zostawili na ziemi, każdy sobą zaprzątiony. Wśród nocy i milczenia tylko, czasami, czasami jak ogień, jak błyskawica zalśni modlitwa której Bóg pozwala na nasz rachunek i pociechę przylecieć; rozwidni się w duszy, lżej zrobi i znowu trawim się sobą, i znowu w przepaściach grobu tego liczym chwilę po chwili, myśl po myśli, słowo po słowie od kolebki do zgonu, wszystko a wszystko cośmy robili i czegośmy nie uczynili!

Na świecie waszym, wśród gwaru chwil co płynąc jedna za drugą uciekają, zapominamy wczoraj, i z jednego końca nie widzimy drugiego; lecz na pokucie pośmiertnej cały żywot uprzytomnia się nam do najmniejszej drobnostki, bo z niego tkać musimy poprawę, bo tysiąc go razy musimy odżywić i przechodzić na nowo, dopóki nie wywalczym w sobie obrzydzenia wszelkiego czynu i myśli nieczystej... A tu co chwila drga jeszcze w nas napój którym upiliśmy się przed śmiercią, i rozpacz chwyta serce i żal je ściska i sił braknie... i męczym się, o! męczym straszliwie...

Głos mówiącego powoli cichnął, ustawał, słabł, gasnął i ustał...

Wszyscy słuchali jeszcze, ale napróżno, znać zanurzył się w sobie i zbiegł zpod władzy tych którzy mu rozkazywali... a nikt, nawet pan Henryk nie śmiał powtórnie wywołać smutnego ducha i zadać mu nowego pytania...

VI.

Była chwila ciszy smętnej, a że burza nie usta-
wała, i chmura nadchodząca znowu pokryła resztkę
jaśniejszego nieba, ciemność się stała jakby przy-
bliżającą się nocy, niekiedy tylko błysk płomy roz-
świecał twarze zgromadzonych i mefistofelowską fi-
zys Nieklaszewicza, którego usta zdawały się parali-
tycznym wiekuistym zastygłe uśmiechem. Wszyscy
stali zadumani, nawet podkomorzy który nie lubił
być serjo i w każdej rzeczy szukał jak dziecko roz-
rywki. Podkomorzyna dla nastrojenia się do tonu
towarzystwa, wzdychała, niebardzo wiedząc dlacze-
go, panna Celestyna dumiała, a pan Henryk wycze-
kiwał tylko nielitościwy gdy przyzwolicie nowego du-
cha ze stolika za uszy będzie mógł wyciągnąć.

— No! a cóż, rzekł po spoczynku krótkim, — wszakże siedm podobno, jeśli dobrze liczyłem ma być duchów w stoliku, dwa nam się już zaprezentowały, wartoby i reszcie krzywdy nie czynić...

— Nielitościwy jesteś, rzekł ojciec.

— Doprawdy, Henrysiu, szepnęła matka, ja już rąk nie czuję...

— Ale *chère maman*, podchwycił pan Henryk, drugi raz może nam się podobny zbieg okoliczności nie trafi... trzeba korzystać... ręce przebolą... a z siedmiu duchami na pokucie siedzącymi się zetknąć, to coś znaczy... Śmiało, a zdaje mi się że to pójdzie nam łatwiej coraz, jużemy się wdrożyli.

— Ale zapewne, rzekł Nieklaszewicz który здаwał się doświadczać w tém jakiś gorączkowej przyjemności, bo twarz mu się paliła z jednej strony wypieczonym rumieńcem, — pójdzie jak z płatka...

— Siadajmy! siadajmy!!

— Tyran jesteś! dodał podkomorzy, *mais il faut passer par tout ce que vous désirez* zaczynajcież.

Po kilkominutowem naprężeniu sił woli czterech osób otaczających stół, trzecia noga kichnęła. Grzeszny zawsze podkomorzy pospieszył zawołać: na zdrowie!...

— Upadam do nóg., niegodzien jestem! niegodzien!

— Kto jesteś duchu? pospieszył formułą zwykłą spytać dowódzca...

— Ja?... Piotr!..

— Kim byłeś Pietrze za życia?...

— Nieszczęśliwym żebrakiem! wyjąknął głos zpod stołu.

— *A fi! un mendiant!* krzyknęła panna Celestyna, *mais que voulez vous qu'il dise.*

— To najciekawsza rzecz w świecie, przerwał pan Henryk, na Boga, życie żebraka! poetyczna karta! nie przerywajcie! cały romans. Pietrze! zawołał, opowiesz nam życie swoje.

— Ale jakże może być, zawołał oburzony podkomorzy, w jednym stoliku hrabia, szambelan... i żebrak! to niepodobieństwo!...

— To świat pokuty! rzekł Henryk...

— Duchu, mów nam życie swoje, — dorzucił szybko... słuchamy cię.

— Mógłbym was spytać, odparł poważnym głosem duch żebraka, czyście mnie słuchać godni, bo ten tylko skorzysta z nauki i doświadczenia mojego, kto doznał com ja wycierpiał lub przeboleć może...

ale nie chcę być dumnym za grobem... powiem wam życie moje. Od początku do końca było szereg klęsk, zawodów i boleści... jednym jękiem przepłynęło całe... Urodziłem się bez oczów, ślepy, w ubogiej chatce wieśniaczęj, i gdym przez biedną wyniesiony matkę raz pierwszy na słońce wiosenne witał rączkami wiosnę, której nigdy oglądać nie miałem, powiew wiatru odjął mi władzę w jednej nodze. To pierwsze z naturą spotkanie było prorocstwem całej przyszłości mojej... W dzieciństwie byłem już osamotniony kalectwem, a nikt prócz starszej siostrzyczki mojej nie czuwał nademną... matka, biedna matka pracować musiała, czułem tylko czasami jak przechodząc, na bladej twarzy mojej kładła łzę z pocałunkiem, i długo, długo mi po nich błogo było!.. Siostrzyczka nosiła mnie kalekę na ręku, póki mogła, śpiewała mi piosnki, karmiła i tuliła w płaczu... ale Bóg litościwy wziął siostrzyczkę do siebie, a mnie samego zostawił.. poszła za nią matka... został ojciec z nami kilkorgiem na rękach... i przywołać musiał w pomoc macochę, która nam była prawdziwą macochą. — Ja com na życie zapracować nie mógł, ledwie z litości kawałek chleba miałem jak psu rzucony ze wzgardą. Jużem był w o-

puszczeniu i nędzy dorósł na chłopaka, i nie było mnie użyć sposobu, gdy raz stary lirnik ślepy przywłókł się do ojcowskiej chaty. Dowiedział się gdzieś w gospodzie o mnie i z radą spieszył dziad dla ras: słyszałem go jak obiecywał ojcu obsfity plon ze mnie byleby na lirnika mnie wyprowadził i dał powodyra. Chleb żebraczy, chleb próżniaczy, ale i u nas jeszcze szanują tego którego ręka Boża dotknęła... choć dotknięcie to plagą, zawsze to znamie święte.

Ojciec bał się daremnie wyposażać mnie lirą... wahał się, zbijał starca tém że z nogą kulawą cao-dzić nie będę mógł po jarmarkach i odpustach... ale dziadowi serce się może poruszyło i mimo ojca postanowił mnie uczyć na lirze. Odtąd co niedziela przychodził pod cerkiew naszą, a co wieczora pod chłtę stał się dla mnie ojcem... Nie był on jak ja, ślepym od urodzenia, widział poza ciemnościami świat młodości, nie jak ja com słyszał tylko szum życia w koło siebie. I opowiadał mi o świecie i karmił mnie pieśniami, ręce słabe po tęsknej prowadząc lirze...

Jedne to w życiu były szczęśliwe wieczory te którem spędził z starym Morozem... zasluchany, zadumany, cały w pieśni, cały w dalekim świecie....

Ale Bóg skazał mnie na cierpienie, i pieśń i lira i starzec liłościwy nową mi nieśli męczarnią. Otworzyły się przed oczyma mojemu nieznanne dotąd światy, uczucia, dole, szczęśliwości!!.. I ja niewolnik com był przeznaczony na wiekuiistą męczarnię przykucia, przejrzałem w swobodę... odgadłem ludzi co pili promienie słoneczne, zapatrywali się na słońce, niebiosy i dalekie widnokreśli... co czuli piękność jaką Bóg stworzył... Serce krwią mi zabiegło i z wyrzutem okropnym wleciałem myślą do Stwórcy, wymawiając mu niedolę moję. To uczucie było grzechem mojego żywota! Niem trawiłem się długie lata i pożarty niem umarłem... w blaskach dopiero wieczności poznając błąd mój i winę...

A! nędzne téż to było życie! Jednej niedzieli Morosz zmarł nagle na smętarzu pod cerkwią i powodyr jego przyniósł mi lirę starca, jedyne po nim dziedzictwo... W pierwszej chwili nie wiem czym więcej płakał po dobroczyńcy, czy ucieszył się z posiadania piskliwej po nim puścizny!! Zdawało mi się gdym kołem poruszył że ton dobywający się z liry był głosem zmarłego...

Z lirą tą i z powodyrem, trochę swobody błyskać się zdawało dla mnie, ale omyliły mnie nadzie-

je... stałem się własnością, rzeczą, podwładnym, niewolnikiem powodyra, którego oczów pożyczac musiałem, byłem jego lirą. Dawał mi co chciał, prowadził gdzie się zamarzyło, kazał śpiewać lub milczyć jak mu się podobało, a ja mu się oprzeć nie mogłem... Szedłem więc z pieśnią o suchym chleba kawałku za tem stworzeniem bezdusznem, które mnie za sobą ciągnęło na pasku; bez litości, bez słowa braterskiego, bez względu na kalectwo moje. Nie-raz łzy się z pieśnią mieszały i na lirę spadały... Nie-raz mi głosu brakło w piersi... a siły w ręku... ale groźba głodu i razów, kazała mi ostatnich sił dobywać... Gorzkie było życie moje, a jam je dotruwał rozpaczą, gdym mógł zasłodzić modlitwą i wytrwaniem... jam wymawiał Bogu karę, na którą usta moje zasłużyły...

Dorośłem młodości i nie wiem kiedy mi i jak przeszła... wiedziałem że na świecie przychodzi pora kwiatów i owocu, miłości, małżeństwa, rodziny, ale mógłłem się o moje prawa, o częśćkę moją odezwać? Pierś się wzdymała pragnieniem nieznanem, jakimś polotem niewytłumaczonym dla mnie; i płakałem z bólu... Czasem usłyszałem koło siebie głos jakiś, co mnie wstrząsał całego, jakby mowę anio-

łów, jakby śpiew chorów niebieskich: natężalem ucha żeby go pochwycić, chciałem biedz by się nim nasycić, ale głos się rozpływał daleko i głucha cisza była ciemnością drugą w której tonąłem... Rozznawalem po głosie ludzi jakbym ich, co wy nazwacie widział, dźwięk mowy uczył mnie niby ich twarzy, wieku i serca, cóż kiedy wszystko to przemykało się tak szybko, tak niepowrotnie, że nic przyswoić i z niczem się połączyć nie mogłem. I byłem jak ogniwo łańcucha rzucone na ziemię, bez związku ze światem, z łańcuchem, do którego należałem. Jedyna istota przykuta do mnie, jak jam był do niej przykuty, wół zwierzę, nielitościwa, sroga, dzika... zamiast mnie wiązać do świata, nie dawała się z nim pojednać... Ledwie kto przystąpił do mnie, ledwie usta otworzył... odpychała zowiąc mnie szaleńcem bezmózgim co powtarzać umiał pieśni, ale w nich nie pojął słowa... Co tam niedostatek, głód, pragnienie, choroby i nędze, gdy dusza srożej ucierpiała od skaleczonego ciała.. Nie było przemówić do kogo, nie było się komu, a! nawet poskarżyć... Kiedym dla siebie jedną z tych pieśni jakich mnie Morosz uczył, chciał wyśpiewać, ażeby przez nią przelać w świat jęki moje, i tego mi nie dozwia-

łał powodyr, bojąc się by zmęczonemu nie zabrakło później głosu na pieśń płaconą i zimną... Katem był mi pan mój... a ja bezbronnym i bojąc się ażebym nie poskarżył się nań przed swemi, uwiódł mnie od wioski, od znanego siola w obce, smętne, pustestrony, w step, gdzie nawet przyjaciel las mi nad głową nie szumiał, gdzie mi moje zioła nie pachły, gdzie jakieś obce powietrze prochem i piaskiem zasypywało ślepe oczy moje...

A jam iść musiał i cierpieć.

Są dole na ziemi, są brzemiona dla ciała i dla duszy ludzkiej tak ciężkie, że je dźwignąć można chyba szczególną łaską Bożą, o swęj sile człowiek upadać musi z rozpacz. Moja była rodzajem szaleństwa przeplatanego odrętwiciem, leżałem jak kamień, lub zrywałem się ze śmiechem szatańskim pieśń nucąc taką na której słowa słuchaczom włosy wstawiały na głowie... a powodyr sam choć bydlę, jeśli nie myślą to dźwiękiem niekiedy czuł się wzruszony do głębi... Zamiast pieśni pobożnych jam składał śpiewy o sobie, o doli i wyrzuty Bogu, że mnie pokarał tak srogo. Ludzie żegnali się na to zuchwalstwo niesłychane... we mnie rozpacz rosła i rosła...

Nareszcie, pamiętam tę chwilę zbrodni mojej, pa-

dłem raz po długim pochodzie na prógu wiejskiej karczmy; wewnątrz gwar słyhać było i co chwila ktoś mnie przechodzący potrącił; alem nie czuł nic, nic, nie zważał na nikogo, tak byłem srodze znużony... zdawało mi się że m dogorywałam., głowę oparłszy o słup, spuściłem lirę na kolana i powieki snem mi się mrużyły mimowolnym...

Nie wiem jak długo trwałem wtem otrętwieniu, gdy mnie powodyr szarpiąc zbudził z niego i śpiewać coś kazał; czułem to, ale niemogłem mu być posłusznym... mruknąłem coś niezrozumiale i głowę znów przychyliłem do słupa, mrużąc oczy. Powodyr był pijany i uderzył; nagle krew zakipiła we mnie całą siłą młodości nieużytej i długo tłumionego gniewu, w głowie błysło coś dzikiego, myśl jak żelazo mózg przesywająca — zerwałem się, schwyciłem go za piersi, zwałem pod siebie, a choć ryczał, zdusiłem za gardło, tak że w rękach moich ducha wyzionął, a w wściekłości lirę rozbiłem tłukąc w zimną jego głowę...

Co się ze mną stało potem, nie wiem... ale nie byłem biedniejszy gdy mnie okuto, prowadzono, karano... w ostatku do wioski mojej przywiódłszy, puszczono z imieniem zbójcy u wrót chaty w której

stary ojciec żył na łasce moich braci... Nikt mnie już przynajmniej nie gonił, nie przymuszał, nie ciągnął za sobą jak bydlę... Głodny, odarty, opuszczony na przyzbie naszej chaty walałem się czekając śmierci, a sioło rodzinne, a to miejsce znane mi od dzieciństwa pokarmiało mnie wspomnieniem matki i edynego pocałunku... jakim w życiu odebrał. Na czole zeskwarzonem cierpieniem chwilami czułem go jeszcze, czułem do śmierci... a konając zdało mi się, że matka przyszła znękaną duszę na lepszy świat pociągnąć!

Duch umilkł i słuchacze spojrzawszy po sobie, nie odzywali się; spowiedź ta biednego żebraka zabójcy, ten dramat zapomniany nie zrobił na nich wrażenia; między nimi, a niemi nie było wiążącej nici, żadne z nich cierpień takich nie znało i boleć za nie nie mogło... Słowa ducha obijały się o ich uszy zdziwione, ale nie dochodziły serca... nie pojmowali, by czieje nieszczęśliwego zbrodniarza umieszczonego losen na dnie tłumu miały prawo do litości, do równowazenia się z cierpieniem filozofa lub poety... Widzieć było po twarzach że równość pośmiertna dusz pomieścić się im w głowie nie mogła...

— Desyć to nudne, odezwał się podkomorzy nic

nie tając ziewania, ale cieszę się że Henryk wpadł na gbura, to go może oduczy od obcowania z duchami i odejmie mu chętkę magnetyzowania stołów, które nic doprawdy dotąd ciekawego nas nie nauczyły.

— Kochany ojcze, odparł Henryk, bądź co bądź wypijemy do dna siedm duchów tego stolika...

— A jeśli pozostałych cztery składać się będzie z tego rodzaju co ostatni? spytała cicho panna Celestyna...

— Chociażby!

— W ostatnim nadto było liryzmu, a cała spowiedź tak złym smakiem! takiego w niej coś łachmanowego... dzikiego, straszego i pospolitego razem!!

Podkomorzyna tylko i Nieklaszewicz nie odezwali się wcale ze zdaniem swoim, gdyż pierwsza zawsze poddrzymywała uśmiechając się, drugi nie puszczał z rąk stolika...

— A co? idziemy dalej? spytał z zaciętością szczególną.

— Idziemy, odparł pan Henryk...

VII.

Nim jednak przystąpiono do nieszczęśliwego stolika, który ze stoicką cierpliwością znosił że się tak nad nim pastwili, pan Henryk mimochodem zrobił uwagę, że duchy na pokucie wszystkie jeszcze dosyć światem trąciły, a każdy z nich poświęcał spowiedzią swoją niezupełność skruchy, niedostateczne oczyszczenie się z kału ziemi.

— Czegoż bo waćpan chcesz, ofuknął się podkomorzy, znać całą tą stolikową metafizyką znudzony, jużciż wybranych w szufladkach niktby nie zamykał.

Nieklaszewicz się uśmiechnął.

— Nie traćmy czasu, rzekł cicho.

— A w istocie czasby było pić herbatę, przer-

wała wzdychając zlekka podkomorzyna, ale tego prozaicznego wezwania nikt nie słyszał, czy słyszyć nie chciał, a stolik objęty łańcuchem, piszczał pod palcami swych władców. Długą chwilę trwała czynność przygotowawcza, nareszcie cichutkie *ach!* wyleciało w powietrze. Pan Henryk pospieszył ze swoim.

— Kto jesteś duchu?

-- Melanja! Melanja! odpowiedział stolik.

— Kobieta! cały zaperzony wykrzyknął podkomorzy, łamiąc ręce, ale gdzież? spodziewam się, że jej nie osadzono ani w ćwieczku ani w klajstrze.

— Gdzie przebywasz? spytał pan Henryk.

— A! tu! tu! na wierzchu, w blacie stolika i tak ciasno... tak niewygodnie!

Duch westchnął.

— Biedna istota! westchnęła za nim panna Celestyna.

— Mój Boże, co to się dzieje! zawołała podkomorzyna.

— Duchu opowiedz nam życie swoje... pospieszył Henryk.

— Jakżeś ty niegrzeczny! przerwała Celestyna.

Ale owa Melanja nie obraziwszy się wcale za po-

ufałą interpellację i trzykroć jeszcze westchnąwszy w kształcie przedmowy, natychmiast opowiadanie poczęła.

— Życie, a! chętnie, chętnie bardzo od tak dawna ust nie otworzyłam, od tak dawna nikt się nie ulitował nademną... grzeczniejsi byli dla mnie na ziemi, o! daleko! ale tu na tym czarnym świecie pokuty, żadnej a żadnej formy i najmniejszego dla słabej płci względu! Wspomniawszy na przyjęcie jakiego doznałam, cała jeszcze drzę z oburzenia i boleści... Musiałam wmieścić się w najdziwniej niedobre towarzystwo, w tłum osób nieznanomych, szłam potrącana i popychana... A tam, tam, odprawiono mnie tak bez ceremonji! nie dano mi się nawet wytłumaczyć! Gdyby chciano mnie przynajmniej posłuchać... byłabym przekonała wszystkich o mojej niewinności... potem przy wadze postąpili ze mną sobie bez żadnej grzeczności, także musiałam czekać kolei jak wszyscy inni, porachowali mi wszystko, dobre serce, piękność, wychowanie, talenta za kapitał to prawda, ale téż jak zaczęli potem bez litości odtrącać... drobnostki, dzieciństwa... spojrzenia, ruchy, myśli, chętki, cudze zmartwienia i łzy moje i falbany sukien i wstążki i koronki... wszystko, wszy-

stko za grzechy... za grzechy! Rzecz niepojęta, tyle się to tego zebrało, nigdy się nie spodziewała! — musiałam pójść na pokutę dopóki całej przeszłości nie potrafię zapomnieć... Sama nie wiem, bo może trwać do nieskończoności... wyraźna niesprawiedliwość... przypadkiem znalazłam się obok Julji... przecież znam całe jej życie, wiem ile nagrzeszyła, ale że się rozplakała jak dziecko, to jej tych łez nakładli na wagę, nakładli, a takie to jakieś ciężkie było, jak kamienie!!

Ale posłuchajcie tylko sami, osądźcie, jak wielką względem mnie popełniono niesprawiedliwość...

Byłam jedynaczką, byłam piękną, byłam dowcipną, byłam trochę zepsutą, ale życie moje nie miało plamy, gdy tyle innych... a! jeszcze oprzytomnieć nie mogę, tak mnie to boli, że mi się nawet wytłumaczyć nie dali! Widocznie to ludzie bez żadnego wychowania, a ten co dusze ważył, (nie chcę źle o nim mówić, przebaczam mu), ale zda mi się, że miał do mnie jakąś osobistą urazę... sami powiedzcie... liczył mi za grzechy fałbany i wstążki!

Nie mogę się skarżyć żeby mi bardzo źle było na świecie. Młodość spędziłam przy ojcu i matce, którzy się rozpadali nademną, robiłam com chciała,

dogadzali mi anielsko! A! mój Boże, mój Boże, jaka to śliczna, jaka to złota rzecz młodość, budzić się w dzień z nowym wdziękiem, z nową nadzieją, z nowem pragnieniem, i marzyć i roić i spoczywać po trudach marzenia, i roić znowu, a roić bez ustanku o niebieskich migdałach szczęścia!

Dzieciństwa mego dobrze nie pamiętam, ale od trzynastego roku jużem była dorosłą tak mi biło serce, tak w piersi dziwne uderzały pragnienia, i znałam już Heloizę i połknęłam Wertera! Pamiętam że mnie to niesłychanie gniewało że się nikt we mnie kochać nie chciał, a pierwsze pragnienie zemsty zrodziło się we mnie z tego uczucia. Rychło jednak zapomniałam o niem, bo w piętnastym roku ulegając żądaniu jedynaczki, matka mnie w świat wyprowadzić musiała... Otoczyli mnie starzy, młodzi, odmłodzeni, zestarzali, wszyscy, wszyscy wielkiem kołem admiracji — chwilę, chwilę długą byłam prawdziwą królową. Piękna jak anioł, dowcipna, bogata, z imieniem niepowszedniem, mogłam czekać, wybierać, rzucać i srodze za trzynastoletnie moje zmartwienie się pomścić, ale to mi już nie było w głowie!

Życie wilo się jak wieniec kwiatów spleciony

z pstrych, barwnych, woniejących, wesołych i cudownych chwilek; ani ojcu, ani matce nie chciało się wypuszczać mnie z domu, a jam téż się nie spieszyła jeszcze...

Wejrzeniem jednym zapalałam serca, słówkiem wiodłam ludzi, uśmiechem pobudzałam do szaleństw i próbując sił moich, miałam pragnienia dziwaczne, ale się wszystkie spełniać musiały.

Nikt jednak z tych którzy sięgali po rękę moję nie odpowiadał myśli... ten niedość piękny, ów niedosyć rozumny, trzeci był za ubogi, inny miał nazbyt szlachecką rodzinę; ostatni ze swoją mitrą księżącą i wytartymi łokciami był śmieszny, nie mógł bowiem ani o pierwszej ani o drugich zapomnieć, zbyt się nią wynosił, zbyt z niemi pragnął utaić... Staranie się o mnie tych panów było wcale zabawne.

— Ale jakaż gadatliwa! odezwała się pocichu panna Celestyna, plecie, plecie, nie ma końca...

— Moja droga, nie przerywaj, rzekł Henryk, jakie życie, taka spowiedź, ręczę ci że i ty nie mówiłabyś inaczej na jój miejscu.

— L'impertinent! zawołała panna Celestyna, i umilkła ruszywszy ramionami. Duch westchnął i mówił dalej.

— Rozkochiwałam tych nieszczęśliwych jednego po drugim, jakoś tak odprawić ich zaraz nie miałam serca; wystawcie sobie że i to mi porachowano. — Wprawdzie być bardzo może, że biedny Staś zrozpaczy począł nadto pić szampana i grać w karty, że Michaś wyrwał się od starych rodziców daleko żeby mnie zapomnieć, nie mając nadziei ręki mojej pozyskać, mówiono także, że Karol całe sobie życie sparaliżował tą nieszczęśliwą dla mnie miłością, — ale widzieć ich tyłu rozmiłowanych, gotowych poświęcić do ostatniej krwi kropelki... Słuchać tego koncertu uwielbieni, a! to tak miło, tak miło!

Bawiłam się, bawiłam, rodzice moi także; nagle, sama nie wiem jak się to stało, zrozumieć tego nie mogę, ojciec począł być chmurny, matka się mniego gniewała, zamykali się w pokoju ojca, żywo coś z sobą rozprawiali, wyjechaliśmy do miasta... i pokazało się żeśmy zupełnie stracili majątek. Ojciec mówił że to była wina oficjalistów, oficjaliści przypisywali ją ojcu; pewna jestem że myśmy wcale temu nie byli winni, nie było nigdy więcej nad sześciu lokajów, dwie karety i sześć balów na rok! to nas zrujnować nie mogło! a rachunki tak prowadzono szczerze!... ta ruina wydała mi się rzeczą okro-

pną! Zaraz za tem wmawiać mi zaczęli, żebym koniecznie szła za Alfreda.

— A! jeszcze mnie przygniata to wspomnienie... Alfred był niebardzo młody, nieładny, o! zupełnie nieładny, blady, ospowaty nawet trochę, bez imienia, bez tytułu, bogaty to prawda, ale tak skąpy, tak skąpy!

Chciałam zwlekać myśląc że się co innego trafi ale ojciec i matka którym on widać obiecywał spłacić ich długi i oczyścić majątek dla ocalenia go pozornie przed światem naglili, prosili... Nigdy się nie spodziewałam żeby być mogli tak okrutni.. próżno się wymawiałam, zwlekałam, odkładałam, udawałam chorobę, groziłam im śmiercią... musiałam dać słowo i obrączkę.

Alfred zaraz z początku był nieznośny, nie się ze sobą nie tuił, starał się wprawdzie przyzwoicie, robił prezenta kosztowne, ale żadnego najmniejszego szaleństwa dla mnie spełnić nie chciał; a taki był zawsze poważny, zimny, obrachowany, że ofiarując mi szal, przyniósł przepis konserwowania go od mółów!! Raz kazałam mu tylko skoczyć z balkonu po chustkę, która mi na ulicę spadła; on ruszył ramionami i poszedł po nią, ale pomalenku, po wscho-

dach. Widziałam już że tam po nim prawdziwej miłości spodziewać się nie było można... wolałam sto razy Karola, ale Karol był ubogi, ja także, a znowu żyjąc w nieustannej pracy na chleba kawałek, to coś okropnego!! na to zdecydować się nie umiałam, nie mieć co dzień świeżych rękawiczek i obchodzić jednym na lato kapeluszem! to coś strasznego!

Wybiła w ostatku godzina, we łzach poprowadzili mnie do ołtarza, zagniewana odeszłam od niego wyrzekłszy fatalne *tak!* i znenawidziłam Alfreda!

Ten śmiał się sucho! wystawcie sobie państwo, miał serce śmiać się z méj boleści!

Przez kilka tygodni siedziałam na klucz zamknięta, jadłam biskokty tylko i cukierki... chciałam się umorzyć głodem, wreszcie dostałam jakiś gorączki, nachorowałam się strasznie, przywołano doktorów...

Musiałam już żyć z tym nieznośnym Alfredem,— ale rachując na to że pozyszcze sobie moje przywiązanie, ogromnie się omylił... Wywiózł mnie na wieś, milczałam posłuszna, odosobnił, chciał bym żyła tylko książką, fortepianem, ogrodem i nim w doda-

tku... tego już było nadto. Musieliśmy się rozmówić stanowczo... Alfred już nie wytrzymał dłużej, upokorzył się, ucałował ręce moje, i wyjechaliśmy znów do miasta.

Wiedziałam teraz czem go kierować, był zakochany choć po swojemu, ale szalenie, chociaż go było potrzeba rozżarzać, a potem ładapocałunkiem uspokajać, trzymając naprzemiany w niepewności, nadziei, zazdrości, zwątpieniu, czasem doprowadzając do rozpaczycy aż, gdy chodziło o wytargowanie nowego powozu lub naszyjnika z topazów... a i topazy nawet wcale nie były drogie, choć prawdziwe wschodnie! Alfred na chwilę stawał się czuły i giętki, ale potem wracał do swych nałogów, miał bowiem wszystkie śmieszności egoistów... Chciał naprzykład żebym żyła tylko dla niego, nim... dzika, dziwaczna pretensja, nie myślałam nigdy złamać mu wiary, ale wyrzec się znów całego świata, nie dozwoić sercu uderzyć, myśli pobujać, byłoby nieznośną niewolą... gorzej klasztoru...

Lubiłam się bawić, pamiętałam że byłam piękną, a wszystko to mi miał za złe... Kazał mi siedzieć z pończochą przy kolebce Julka, jak gdyby Julek nie miał nianiek i bon i całego dworu, który go pielęgnował.

Musiałam się czasem oburzyć, musiałam zgneść tyrana; ale co to mnie kosztowało!! Otworzyłam wreszcie dom, postawiwszy na swoim, bo uważałam że starzejąc powolniał coraz i łagodniał mi Alfred... sypnęło się do nas co żyło najdystyngowańszego. Nie przeczę że się starałam podobać, że lubiłam wejrzenia czułe, pełne myśli i odpowiadała na nie wzrokiem obietnic pełnym, że się zdawała robić niektórym nadzieje półsłówkami, że usłowałam być jak najpiękniejszą i trochę zalotną, że nawet z nudy, z nudy tylko, czytała listy Teodora i odpowiadała na nie, ale mi to wszystko za takie jakieś wielkie grzechy porachowano!! przecież wiem że nie były śmiertelne... ściśnienie ręki, kradziony leciuchny pocałunek, były doprawdy największymi moimi przestępstwami, ale mnie widać ogadano, a plotki wiarę znalazły... Nie było nic więcej! Żeby też byli porachowali mi także to utrapione życie z Alfredem, jaki to był nudziarz nieznośny, jak co chwila dusił mnie tym swoim skąpstwem i prozą!

Minąwszy lat dwadzieścia kilka, im bliżej byłam trzeciego dziesiątka, choć miałam dwoje ślicznych aniołków, które do mnie były bardzo podobne, nie mogłam już zmieniać trybu życia, do jakiegom była

przywykła. Ale czyż to wina? czyż to grzech? Przykro mi było zestarzeć się nie skosztowawszy miłości o której czytałam tyle... musiałam odegrać rolę jakąś w tym dramacie, bez którego życie by było niepełne. Alfred to brał za złe, ale dziwak był niepoprawiony i nic nie znał świata! Pewna jestem że poprzedziwszy mnie, musiał tu coś nagadać, o! to do niego podobne... Pomścił się choć tym sposobem...

Teodor był młody, ładny, rozkochany szalenie, dowcipny, a tak ślicznie i tak dobrym akcentem mówił po francuzku i pisał listy tak nieporównane co do stylu i czucia! Kochałam go, nie kryjąc się z tem nawet, ale czyż to mi za wielkie przestępstwo poczytać można? Alfred długo nie domyślał się niczego, byli z sobą jak najlepiej, codziennym gościem mieliśmy go w naszym domu, życie poczynało się uśmiechać, nie mogłam przewidzieć że to wszystko skończy się tak straszliwie.

Niegodziwa Fanny zapłacona czy podmówiona przez Julję zapewne, musiała Alfredowi pokazać kryjówkę, w której składałam wszystkie jego listy: chwycił je, i straszną z tego zrobił mi scenę! A! jaki był brzydki wówczas! nigdy nie zapomnę; wle-

ciał rozjuszony, zajadły, zapientony z gniewu, bładny... trzęsący się... potok najochydniejszych wyrazów wylał się z ust jego; starszy mi się wydał o lat dziesięć, nie mogłam pojąć jak żyłam z tym człowiekiem. Omdlałam z oburzenia, a gdy się ocuciła, dowiedziałam się że Alfred wyzywał Teodora... Ubrałam się czarno, zczesalam gładko włosy i zamknęłam się w domu, oczekując tego dnia straszliwego, który miał o moim losie rozstrzygnąć... Strzelali się i Teodor go... a! ale nie zabił, nie zabił! Był tylko lekko ranny... prawda że w rok potem umarł biedny, ale nieoszacowany doktor Mier utrzymywał zawsze, że z choroby wątrobowej, nie od tej kuli z którą mógł żyć wybornie, choć się w nim została... bo jój wyjąć nie mogli... Teodor... w tem go nie poznałam, zaraz wyjechał za granicę. Pisałam do niego kilka razy, i wzgardziłam nareszcie, ożenił się nie doczekawszy końca mojej żałoby...

Po drugi raz w życiu chciałam się zemścić na tym niewdzięczniku; byłam jeszcze piękną, wolną, bogatą znowu (bo mi Alfred wszystko zostawił), rzuciłam okiem po ludziach... Chciałam żeby mnie zobaczył odświeżoną, odmłodniałą, cudnie piękną, żeby żałował i klął u nóg moich... byłabym go na-

ówczas odepchnęła z wyrazem oburzenia i wzgardy. Zamiast niego, musiałam wreszcie wybrać Stasia... O! dobreż to było chłopię, złote serce! trochę miękkie, trochę rozpieszczony, ale taki posłuszny i takie serdeczne dziecko!

Szczerze chciałam pójść za niego, ale los wcale zrządził inaczej, nie miałam szczęścia, a tego mi nie policzono!!

Staś był prawda trochę za młody, obliczywszy ściśle, mógł być synem moim, ale ja jeszcze tak młodo i ślicznie wyglądałam naówczas, że mnie czasem brano za dwudziestoletnią panienkę, garderbiana moja przysięgała mi na to.... Staś był zakochany, ja dzieci wyprawiłam na wieś i nigdy o nich mu nie czyniłam wzmianki, już mi zaczynał nawet napomykać o małżeństwie biedny chłopiec, gdy ktoś zawistny dał znać na wieś jego rodzicom... O! ci starzy! oni zawsze szczęście widzą tylko w tem coby je im dać mogło i mierzą je gotową miarą swoją... wlecieli do Warszawy, zabrali mi chłopca, i ostatnia moja miłość zerwała się jak struna wśród koncertu, bez przygotowania, nagle... na wieki...

Kilka tygodni byłam niepoczyszona, ale słabość jego charakteru, uległość rodzicom nierozsądna o-

pamiętały mnie, niebym była z niego nie zrobiła... otrząsałam się z tego dziecinnego przywiązania, zaczęłam znowu szukać dokoła siebie...

Już mi się nie udawało! Ignęli do mnie to prawda, ale nikt z tych kogobym była wybrała, że nie się ze mną nie myślał... radzi byli tylko przyjść, pobawić się, nie wiążąc niczem i odejść gdy się im podoba. To mnie oburzało!! Usiłowałam wreszcie kogokolwiek serjo rozkochać, starałam się być piękną, pokazać bogatą, błysnąć dowcipem, nie nie pomogło; każdy przychodził, napatrzył się, naśmiał, nadowcipował, zabawił i odchodził obojętny... Domyśliłam się wreszcie że mi moje dzieci musiały tak szkodzić do szczęścia i znenawidziłam je prawie z tego powodu... Nie byłam jednak złą matką... pamiętałam o nich, o ich potrzebach, o nauce, o wygodach... tyłkom niańką i dozorczynią być nie mogła i nie chciała... Świat uśmiechał mi się jeszcze, niepodobna mi było wytrwać na wsi...

Nie sądzcie jednak żebym już nie była w możności natchnąć gwałtowną namiętnością... ale wszędzie mnie ścigało jakieś nieszczęście, jakaś fatalność.... Tu i owdzie zapalałam serca, rozpoczynały się preludja od westchnień i spojrzeń, ale zawsze coś, ja-

kaś nieprzewidziana okoliczność zrywała to w chwili, gdy się rozwinąć miało najlepiej. Temu wypadła podróż, inny zachorował, trzeci został zmuszony mimo woli się ożenić i choć rzucali mnie w rozpacz, ale rzucić musieli...

Jużbym była może z biedy poszła za doktora Francolini, który minawszy to że doktor, był bardzo przystojny i niezmiernie przyzwoity człowiek... gdy niewiem z czego, podobno z zaziębienia po balu, dostałam lekkiej gorączki, i mimo starań najusilniejszych niezmiernie się zdziwiła, postrzegłszy że przeszła na świat inny.

Tu się właśnie poczyna najciekawsza część historii mojej; widzieliście że nie była wcale ciężkimi obciążona grzechami, spodziewałam się tylko lekkiej admonicji, ale anim myślała, żeby mi drzwi nieba przed nosem zamknięto...

Wybiegłam więc w drogę dosyć spokojna, trochę tylko zmieszana że mnie to tak niespodziewanie spotkało... Tknęło mnie to zaraz że łącząc się z mnóstwem duchów które z tego świata razem ze mną zeszyły nie doznała od nich najmniejszej grzeczności; — szliśmy koleją, nikt mi nie ustąpił z drogi..... Ha! myślę sobie, mniejsza o to, nikt mnie nie zna, gdyby

wiedzieli kto jestem z domu, byłoby wcale inaczej; okryta więc mojem incognito i spodziewając że się to zmieni gdy staniemy u kresu, szłam dalej.

Coraz jaśniej, coraz jaśniej, stajemy wreszcie u drzwi, ale tu literalnie jak w Paryżu przy pierwszym przedstawieniu opery Mejerbeera, natłok nieopisany, ścisk, tłum... i nikt nikomu nie ustępuje, nikt na nikogo nie zważa; każdy z kolei przychodzi.

Czekam cierpliwie przebiegając myślą życie moje i uspokajając się coraz mocniej, gdy w chwili widzę się powołaną po imieniu. Złęklam się, ujrawszy twarz surową i poważną, może od znudzenia, bo tylko się nas tam tego dnia meldowało!

Nie potrzebowałam mu mówić ani ktom była, ani z jakiej pochodziłam familji i co robiłam na świecie, ten co mnie powołał, zmierzył tylko okiem i wiedział wszystko... Ale żeby też choć prosił siedzieć, choć pocieszające wymówił słowo... nie, wskazał mi tylko ręką drogę smętną którą iść miałam, a którą tłum także zalegał. bo rzadko kto tak był czysty, żeby wprost poszedł do nieba...

Trochę mnie to zaambarasowało... i ośmieliłam się mu powiedzieć... kto byłam z domu... I na to nic, znowu wskazał mi drogę, jeszcze raz otworzyła u-

sta... ale nim się zaczęłam tłumaczyć... tłum ujął mnie i niewidzialna siła pchnęła dalej...

Przyznam się że to zimne przyjęcie kobiety mojego położenia dotknęło mnie żywo... poszłam dalej, do ogromnego kręgu, gdzie ważono dary nasze i czyny, i skąd potem rozsyłano na pokutę.

Jeszcze mi zostawała nadzieja ze się choć tu wytłumaczę... ale i tu ścisk, natłok, zamieszanie... Sądziłam że niezmiernie długo oczekiwać mi przyjdzie, gdy tuż stanęłam u wagi.

Ten co dusze ważył, był poważniejszy jeszcze i surowszy... Koło wagi zwijały się jakieś postacie z anielskim obliczem, których chciałam przekupić uśmiechem, zdawali się tak dobrzy, mili i pełni uczynności! Jeden z nich wnet poprzynosił to co mi Bóg dał przy urodzeniu i w ciągu życia nabyć dozwolił.., na oko zdawało mi się wiele, ale stara waga pewnie zardzewiała, niebardzo ciężar uczyła... Liczyłam okiem, zdawało się być wszystko.

Wtem drugi nuż przynosić grzechy moje! Z początku mnie to nie przestraszało, sądziłam że rychło się skończy, ale waga przechyliła się na tę stronę, a oni jeszcze nosili a nosili te mniemane grzechy. Zakrzyknęłam z oburzenia!

Wystawcie sobie państwo, ale to takie powywlekali mi rzeczy, których nie miałam w pamięci, kilka tysięcy wejrzeń, kilka tysięcy uśmiechów... wreszcie stroiki, stare falbany od sukien... Już nie mogłam wytrzymać, i odezwałam się że w życiu nie popełniłam żadnego grzechu tak strasznego, ażeby mnie kara zań długa i ciężka spotkać mogła...

— Byłaś złą żoną, byłaś złą matką i złą kobietą, rzekł uprzedzony widać przez mego męża psychostata.

— A! zakryłam sobie oczy, ja złą żoną?

— Mąż zginął z twojej przyczyny. Spójrz, masz krew jego na sobie...

Odwołałam się żywo do świadectwa doktora, a tuż widzę go w tłumie: pozwolono mi go wezwać.

— Doktorze! krzyknęłam, tysiąc razy powtarzałeś mi że umarł nie od kuli Teodora... Ale wszyscy aż do doktora który tylko ramionami ruszył, spiknęli się na mnie, śmierć Alfreda ogromnie przeważała szalę.

— Cóż robi ta stara falbana? zawołałam po chwili.

— Przyszyłaś ją do sukni w złej myśli! odpowiedziano mi.

— A ten bilet koncertowy?...

— Poszłaś na widowisko odstępując chore dzieci żeby się uśmiechnąć do Michała...

Słowem, takim sposobem wygrzebując najmniej ważne uczynki, myśli, chętki, drgnienia serca, gdy je na wagę nakładli, zrobiło się tego tyle, że druga szala całkiem się do góry podniosła... Chciałam mówić jeszcze, gdy mnie już ktoś inny zastąpił... uczułam tylko, że lecę na pokutę, znowu na świat nasz... zapomnieć mojego życia!

Teraz, kiedy to wszystko rozbieram, nie mogę się wstrzymać od oburzenia na wyrządzoną mi niesprawiedliwość.., Julja, Julja, piękna Marja, które miały tuzinami kochanków, łzami się wykupiły, a ja zem płakać nie umiała, dla trochy dumy i charakteru, muszę siedzieć w stoliku! I ani sposobu odwołać się od tego sądu... a! tak tu nudno, tak samotnie, tak upokarzająco... Już mi do głowy przychodziło żeby się gdzie choć od kogo o dzieciach moich dowiedzieć..... Niewdzięczność ich mnie boli, od początku pokuty mojej nigdy myśl żadnego z nich do mnie nie doszła, nieraz westchnienie ludzi obcych błysnęło wśród ciemności które mnie otaczają... a od nich! nic! nic! nic!

W tem miejscu spowiedzi, podkomorzyna poczęła coś szeptać z córką.

— Melanja... to ona... Alfred! jakże!.. moglibyśmy jęj coś powiedzieć o dzieciach...

Duch czy usłyszał, czy się domyślił, gorąco zapytał...

— A powiedźcie, powiedźcie!

— Ale to cię nie pocieszy niebogo! dodała podkomorzyna, która najmniej ubarwić mogła to co opowiadała. Syn Julek... już stracił co miał do grosza... zdrowie jego złe bardzo, różnie o nim mówią... są nawet dowody że ogrywa na pewno...

— A Mimi?

— A Mimi! o! to jeszcze gorzej, zawołała podkomorzyna, co tu obwijać w bawełnę... miała przypadek... potem, potem poszła za mąż za syna ekonoma waszego Parcinkowskiego i wzięli gdzieś dzierżawę... Ale i tego słyszę porzuciła...

Duch milczał uporczywie... a podkomorzyna nawet nie miała odwagi dalej wiadomości o dzieciach mu udzielać... Wszyscy stali chmurni, nie śmiejąc ust otworzyć, a podkomorzy ruszał ramionami i brwiami...

— To być nie może! przerwał milczenie głos ze

stolika... Julek, Mimi, oboje tak do mnie podobni, tak starannie wychowani... Mówili po francuzku jak paryzanie, Julek już uczęszcza do najlepszych towarzystw i nadzwyczaj się forsował.

— Ale co tu w bawelnę obwijać, zawołała podkomorzyna, która na chwilę zapomniała że miała do czynienia z duchem... waćpani dobrodziejka zapomniałaś, że trzeba im było dać zasady...

Celestyna ruszyła ramionami.

— Droga mamó, nie męczże ją... dosyć już tego... dajmy jój pokój.

— Dajmy pokój, chórem zawołał podkomorzy...

— Dajmy pokój powtórzył Henryk.

I jabym téż chętnie był za tem wotował ale nie miałem głosu, uśmiechnąłem się tylko... spoglądając rychło li przejdzie burza żeby choć pod nocdałój ciągnąć w drogę. Nieszczęściem burza trwała uparcie.

— Możebyś już trzem pozostałym duchom darował... szepnął podkomorzy widocznie znużony...

Pan Henryk tylko ramionami ruszył.

— Ale na Boga papo! to się niegodzi!

— Czas bo pić herbatę... odezwała się podkomorzyna, mnie to wycieńcza, ja się czuję głodną.

— To niech herbatę dają w drugim pokoju, rzekł pan Henryk...

— A któż ją zrobi?

— Ja, odezwałem się z kąta, jeśli to państwu dogodnen być może...

— To jużbym ja powinien, chociaż przyznaję się że wcale do tego nie jestem zdolny... wyjąknął gospodarz, ale możeby żona mego kamerdynera, która czasem przychodzi mi nalewać... spojrzał na podkomorzynę ukradkiem, wyręczyła nas?

— A! Henryka! ona dobrze robi herbatę! potwierdziła sama pani, myśl dobra... każ jej przyjść..

Ledwie dali ręką wypocząć magnetezujący, a już pan Henryk wzywał ich znowu do dzieła przedsięwziętego, ale nikt już oprócz Nieklaszewicza wielkiej do niego nie miał ochoty...

Panna Celestyna zdawała się uderzona spowiedzią ostatnią i smętnie zwieszała głowę, podkomorzyna ziewała spazmatycznie, podkomorzy przechadzał się więcej zajęty herbatą niż duchami, poglądając na drzwi któremi taca i Henryka wejść miały.

Po chwili ów hajduk który mnie wprowadził,

wsunął się z dość obłamaną tacą, i rozmaitego kalibru szklankami, i pociągnął do przyległego pokoju, a za nim wskoczyła bardziej niż weszła, śliczna jejmość, typ subretki z uśmiezkim na ustach i figlami w czarnych oczkach... Domyśliłem się w niej Henryki...

W bieluchnym malutkim czepeczku na ciemnych włosach starannie uczesanych, z noskiem trochę zadartym, różowa, śnieżna, wesola, szyderska gospoia podkomorzego nie zdawała się mieć więcej lat dwudziestu. W swoim rodzaju jako pokojówka była prześliczna, a tak jej było do twarzy w tym stroju skromnym, z czarnym fartuszkim, z czarną na szyi aksamitką, z paskim który obcisły stanik jej przecinał, że zdawał się dla niej stworzony. Ukłonem pełnym zalotności powitała towarzystwo i ścigana oczyma podkomorzego i Nieklaszewicza, przeleciała do drugiego pokoju...

Podkomorzyna ledwie na nią spojrzała, a panna Celestyna udała że nie postrzegła, pan Henryk się nie odwrócił...

— No? a cóż idziemy dalej? spytał przewodnik.

— Jak chcesz, odezwała się matka.

— Jak chcesz, dodała Celestyna; a Nieklaszewicz gorąco zawołał:

— A jakże! a jakże!



VIII.

Długo milczał stolik; nareszcie znudzony Henryk począł już głową kręcić i nie wytrzymał a sam się odezwał:

— Ciekawa rzecz, kto tu teraz wystąpi: ówieczek, bronz, czy karuk, bo jeszcze pozostały trzy duchy uwięzione w tych trzech podobno stoliczka częściach...

Wtem, gdy słów tych domawiał, dał się słyszeć nie głos jak przedtém cichy i niewyraźny w początku, ale żywo i szparko nucona piosenka.

Zdziwiło to niezmiernie wszystkich, piosenka z drugiego świata! nastawili ucha, ale ja com ją także słyszał i trochę pamiętam, mogę zaręczyć że w niej nic nie było osobliwego; ułożona była bardzo umie-

jętnie, może nadto uczono, pełna figłów, niebra-
kło jêj natchnienia, ale nie miała têj prostoty, têj
rzeźwości pomysłu, tego rzutu, który w muzyce jest
oznaka że ona poszła wprost z duszy...

Temat był dosyć szczęśliwy, ale jak go wziął nie-
znany śpiewak w obroty, jak począł nim wykręcać,
stroić go, ubierać, przerabiać, choć dał dowód niepo-
spolitéj biegłości, choć zadziwił, nie poruszył mnie wca-
le... Piosnka ta na którą wszyscyśmy stół otoczyli, a
nawet Henryka z drugiego pokoju na próg wybiegła,
trwała do zdziwienia długo, długo, przechodziła ró-
żne stopnie rozwoju, wreszcie żywem *stretto* za-
kończona, wedle wszelkich reguł obrobiona, zam-
knęła się dla oryginalności może konając na domi-
nancie...

I już się poczyniała z innego wcale tonu druga
w tempie smutném i powolniejszym, gdy pan Hen-
ryk po trosze zniecierpliwiony, zawołał:

— Ale któż jesteś duchu muzyku? i gdzie ci po-
kutować przypadło!

-- A! kto jestem? zaśpiewał recitativem artys-
ta, gdyż nie wątpiliśmy już o jego kwalifikacji... cie-
kawiście? doprawdy! Nieszczęśliwy! bardzo nieszczę-
śliwy pokutnik! Siedzę w ćwieczku!

I tak mi zimno, i tak mi ciasno! i tak mi ciemno,
i tak mi smutno!

Ja com po dwakroć z duszą artysty przeszedł się
po drodze życia, drodze piękna, dźwięku, formy,
barwy i harmonji!

— Takżeś zgrzeszył straszliwie, spytał Henryk,
że na srogą skazany jesteś pokutę?...

— Zgrzeszyłem! czuję to dziś! musiałem zgrzeszyć,
bo sąd ostatni niemylny, ale i kara niedługa...
już się przedemną horyzont rozjaśnia, co chwila
mniejsze ciemności mnie otaczają, świta powoli,
świta, i we mgłach poranka nieśmiertelności widzę
już zarysowujące się kształty niebios, do których tęskni
moja dusza... Niekiedy pieśń cudna, zdaleka
z falą powietrzną przyplynie do mego ucha... wyzwole-
nie się zbliża... Aleście chcieli powieści mojego
życia? Słuchajcie... Nie był to żywot pospolity i
codzienny, grzechy moje nie były grzechami wielu...
Nie wiem czy w was znajdę pojęcie i współczucie.

Dawno już temu, dawno, przyszedłem na świat
w ubogim domku, pod strzechą słomianą, na posła-
niu ciężkiej rzeczywistości, wśród dokuczliwych jej u-
ścisków, chłodnym jej obwiany oddechem... dzie-
ciństwa mojego nie pomnę, lecz gdyś oczy, myśli,

otworzył, świat na mnie dziwne robił wrażenie... serce mi biło, oczy drgały, pierś gorączką wznieciona podnosiła się uczuciem podziwu, uwielbienia, niepokoju i jakiegoś potrzeby czynu, których naówczas zrozumieć jeszcze nie mogłem.

Pamiętam tylko, że m strugał z patyków posążki, że m powtarzał zasłyszane śpiewy, że m wszelki papier zarzucał nieforemnemi postaciami rojącemi się po mózgu, którym ręka niewprawna sprostać nie mogła. Obojętne mi było wszystko co nie było piękne, co nie mówiło wprost do duszy jedynym jej znanym językiem... nie rozumiałem prozy życia, a wśród niej rosłem na przekorę.

Nie wiem jak to się stało, ale m się rozwinął artystą, choć nic mi nie pomagało, wszystko się przeciwilo temu... Było nas rodzeństwa kilkoro, i dwoje rodziców myślących tylko o powszednim dla nas chlebie; ale Bóg co nie zapomina o nikim, posypał ziarnem drogę, którąśmy dalej iść mieli. Nie znaliśmy dostatku, aleśmy nie spadli w nędzę... jam powoli o chlebie mierności rósł w siły i rozwijał się... Popęd który mi się dał uczuć z dzieciństwa, którego m nie rozumiał ani ja ani ci co mnie otaczali, bo go zwano skłonnością do próżniactwa i głupotą, popęd ten co chwila we mnie brał górę.

Dziwiłem się nieraz żem tak mało do drugich był podobny, że mi nic nie smakowało z tego co ich szczęśliwemi czyniło... ale sam sobie byłem nierozwikłaną zagadką. W tym niepokoju przechodzę dalej stopnie po których młodość wiezie na ostatni szczebel siły. Stałem wreszcie u kresu na którym się sobie mogłem przypatrzeć... byłem artystą!

W chwili kiedy to odkrycie uczynił, gdy m poczuł dokąd iść powinienem, sił mi i odwagi zabrakło. Byłem sam, swobodny, panem swój woli i mistrzem przyszłości... mogłem uczynić co mi się zdało i pokierować jak chciałem. Serce wołało ku sztuce, ale rozsądek zimny kazał mi się obejrzeć dookoła.

I zimnem okiem starca począłem się rozglądać w przyszłości, zawczasu ją rachując; a posłannictwa mego i obowiązku zapomniawszy uląłem się widma męczarni które potrzęsając kajdanami upokorzeń i zapoznania, blade i wycieńczone stało przedemną.

W téj chwili stanowczój jużem się nie umiał pokierować powołaniem, alem się spętał rozumem i dał mu wieść gdzie mnie lenistwo, spokój i swoboda ciągnęły.

To było wielkim grzechem mojegoż żywota.... Z piersi méj wyrwały się pragnienia dziwne, żądze szlachetne, uczucie ofiary i namiętny popęd ku sztuce, przez którą z piersi miałem wylać wszystko co Pan Bóg w nią włożył.... ależ kazał zamilknąć pragnieniu, żądzy, uczuciom, popędom, ze strachu doli ciężkiej, z przeczucia nieszczęść które mnie czekały.

Poszedłem szeroką drogą życia prozy, poziomym gościńcem tłumy, i spojrzawszy na wierzchołek na który drapać się miałem, spuściłem głowę drżącą...

Od téj chwili poczęła się powolna męczarnia, grzech i nieszczęście, których nie przewidywałem, a których zaród był w zapoznanem powołaniu mojem.

Całe życie musiałem w piersi nękać i tłumić łkanie i głosy które z niej leciały na świat, nieumiejąc języka jakimby do niego przemówiły; całe życie walczyć byłem zmuszony sam z sobą i tęsknić za wieńcem cierniowym, którego włożyć na skroń nie śmiałem...

Zyskałem chleb powszedni, zarobiłem dostatek, miałem wszystkie pozory szczęścia, ależ straszliwych doświadczał męczarni. Zabite w duszy trupy

wstawały marą, upiorem i szarpały ją dobijając się życia. Byłem jak ojciec co w kolebce pomordował dzieci i krew ich czuje na ręku przez resztę utrapionych godzin. Skazany patrzeć na odwrotną świata stronę, z którą w ciągłej byłem styczności, doświadczałem męczarni jakiej i Dante w swem piekle nie śmiał wymyślić, byłem jak duch czysty którego by do zwierzęcia przykuto i żyć w jego wnętrzościach kazano.

Drugi świat piękna, sztuki, idei, cała strona szaty którą Bóg pokrył dzieło swoje, była dla mnie tajemnicą... Wpadłem w tłum co o niej nie wiedział, który się z jej bytu urągał, który mnie ścigał w kałużę, gdym oczy w niebo podnosił.

Na tę chorobę, na to kalectwo własną zadane dłoń, nie było środka, nie zostawało ratunku... poczwary rzeczywistości najbrudniejszej otaczały mnie z szyderskim uśmiechem na ustach, wszystko czego dotknąłem rozsypywało się w proch i zgniliznę.

A gdy do ucha i ducha doszedł dźwięk czarowny ze świata ideałów, to mi rozdzierał pierś takim żalem, taką boleścią, jaką chyba po nieśmiertelnej ojczyźnie, płakać można!! I ciężkie, tkane żelazną ręką konieczności były dni moje, a cofnąć się już nie-

podobna, a zawrócić nie można, a poprawić zapóźno!

Czułem piękno i burzyły się myśli we mnie, gdym pierwszego odtworzyć, gdym drugich wysłować żadnym już nie mógł językiem... Wszystko jak u tego bajecznego króla, życzeniem własnem obróciło mi się w złoto, ale z głodu konać musiałem!!

Myślałem że ten żywot straszliwy okupi grzech mój, alem się mylił; bo zapoznanie posłannictwa, bo gwałt zadany naturze powołującej nas drogą wyznaczoną palcem Bożym, nie tak się łatwo odpokutować może!

Rok za rokiem, żółwio, przeraźliwie, powoli wlokło się życie niewyczerpane, a codzien nagromadzonemi popiołami spalonych żądź wyżej i czarniej zasute...

Obok mnie ludzie inni mieli język dla myśli swoich, mieli prawo dobycia z piersi uczucia, wyśpiwywali je, barwili, dawali im ciało i ducha... ja jeden jak grób milczyć musiałem...

Ręka, oko, usta, nie słuchały tego który nie usłuchał słowa Bożego i starł ze swego czoła nieśmiertelne znamie, zabijając w sobie to, czemu Stwórca żyć kazał!! Byłem jak zbrodzień którego występpek

pozostał dla otaczających tajemnicą, przymuszony sam dźwigać całe brzemie krwi. Bo gdym zapóźną spowiedzią chciał litość wywołać, śmiech tylko i szyderstwo zyskałem... nikt z tych któremi maie los mój otoczył zrozumieć mnie nie mógł. A widząc że męstkał i bolał, przynosili mi jadło, napój, zimny uścisk i głupią swawolę, jak gdyby przez użycie, przez nasycenie dusza się wylać i zaspokoić mogła.

Dusiło mnie całe brzemie jakie nosilem w sobie!! Nieraz łzami gorącemi prosiłem Boga, ażeby mi odjął resztę lat moich, których dokonać nie czulem się w siłach; alem kielich spełnił do dna...

Dokoła przesuwali się szczęśliwi w łachmanach, uniesieni w wieńcach zpod których krew płynęła, ci co byli całych krajów, całej ludzkości ustami, ręką, piersią, tłumaczem, głosem, a jam tylko patrzył z dala, jak ów słaby chrześcjanin, co Boga się zaparł w chwili gdy go do cyrku przez któryby poszedł do niebios, wiedziono. Przedemną jak przed podróżnym w noc głuchą na stepie, co chwila było ciemniej, puściiej, straszliwiiej... niebo i ziemią zlewały się w jedną czarną całość przepaści... w uchu drgał tylko szum burzy, świst grozy i szelest śmierci...

Kiedym się po tém życiu jak po śnie ciężkim przebudził na innym świecie, dusza moja poleciała ku strefom jasnym lotem błyskawicy... ale od wrót nieba, pchnęła ją siła niewidoma.

Poszedłem na sąd dźwigając męki moje, a ani jednego uczynku...

— Coś zrobił? spytano mnie.

— Bolałem, odpowiedziałem z jękiem.

— Spełniłeś co ci rozkazał ojciec? zawołał głos groźny.

— Nie, alem nieposłuszeństwo srogo opłacił.

Spojrzałem na szalę... a była próżna, i na dnie jej krwawe łzy moje leżały lekkie, zeschłe, jak listki jesienne... a ja nic, nic do nich dodać nie miałem!!

Anioł ulitował się nademną...

— Idź, rzekł, na drugie życie, które będzie karą twoją...

Słowa te obity się o uszy moje i jużem uczuł się w kolebce... Kolebka była złota, purpurowe jej zasłonki, miękka pościółka podemną, a powietrze co twarz moję otaczało tak precedzone i ocieplone sztuką, żem w niem spoczywał jak wśród kąpieli letniej... Zasnąłem snem dzieciństwa nabierając sił do

nowych życia męczarni... nie wiedziałem jeszcze co mnie czekało, ale w piersi uczułem już żar mój dawny, który mnie palił w dniu pierwszym bytu na ziemi.

A! myślałem w snach mojej miękkiej kolebki... pójde za głosem Boga... i wyśpiewam co wlał w duszę moję...

Szerzej coraz otwierały mi się źrenice, a niezna-ny świat jakiś je spotkał. Życie moje nie było podobne do tego z którego wyszedł wrotami śmierci.

Ludzie mi się uśmiechali wszyscy, twarze ich były łagodne, słowa pełne słodyczy, oczy obietnic pełne... matka moja wydała mi się aniołem, ojciec powagą i postacią, pełną twarzą, pociągał mnie budząc zarazem uczucie czci nieopisanej. Żaden dźwięk przykry nie obijał się o ucho moje, żadna groźba go nie kaleczyła, kołysano mnie dobrocią, karmiono pocałunkami. Nie było życzenia którego by nie spełniono, zachcenia, coby spłynęło z próżnemi łzami...

Ale zarazem byt ten złoty wkrótce mi się klatką złocistą ukazał... nie miałem tej swobody z jaką pierwszą moję przeswawoliłem młodość, nie mogłem nawet myślą własną pokierować, w tak żelazne ujęło ją pęta wychowanie i codzienne wpływy tych

co mnie otaczali. A kiedy biedna myśl dziecinna zbłądziła na manowce, to ją zaganiano z uśmiechem, łagodnie na wyznaczoną drogę, po której iść trzeba było.

Oglądając się wkoło zdumiony, postrzegłem że m był na całkiem mi nowym świecie, którego zdala nawet widzieć nie mogłem wprzódy... wielki dwór otaczał nasze pałace, służalców liczyłem setkami, a gdziekolwiek zwróciły się oczy moje, wszędzie spotykałem trzy trąby na piersi czarnego ptaka, godło rodziny, do której uależałem, której byłem nadzieją i potomkiem.

Ród mi ten wytykał drogę, którą iść musiałem, niestety, gdy w duszy wrzało pragnienie innej doli i żywota!

Urodziłem się powtóre... z duszą artysty w pieluchach magnata...

W życiu mem pierwszym mogłem być artystą a nie chciałem, tum pragnął a nie mogłem wyrwać się z złotego kręgu w którym byłem zamknięty...

Druga część życia cięższą może była od pierwszej, choć w niej skierowano naprzód duszę moję do uczucia piękna, dano jej język, dano słowo, dano środki wyrzeczenia co czuła, ale powiedzieć co czuła nie było wolno.

Inny los, inne ją czekały obowiązki... Tylem miał szczęścia co w młodości, kiedy ujawszy mnie w troskliwe ręce, stu najpierwszych mistrzów uczyli tego co tylko znać, ale czegom używać nie był powinien... Słyszałem jak stary mój nauczyciel muzyki, nieraz wzdychając pocichu, szeptał wzruszony. Na coś ty się księciem urodził, jakimbyś był kompozytorem!

Raz przecie przydybałem starego Niemca i uśmiechając mu się, spytałem go gdyśmy zostali sami.

— Dlaczegożby książe kompozytorem być nie miał?

— Dlaczego, odpowie dział mi staruszek, bo ci życie zjedzą czeze, głupie formy, ruchy niewytłumaczone, obowiązki śmieszne a niesłuchanie na pozór ważne, tak że na artystę chwili ci nie zostanie... Będziesz musiał okręcać się w kółku, ani na krok dalej, ani na krok bliżej tam tylko stojąc gdzie cię postawiło urodzenie; a gdy usta otworzysz, zahukają cię śmiesznością. W waszej sferze śmieszność stoi jak w ogrodzie straszdyłło na wróble, którego książe nie widziałeś nigdy pono, jestto kawał łachmana, kawał kija i trocha słomy, ale jak wróble tego maniaka, tak świat wasz śmieszności się lęka... A u was artysta jest śmieszny, bo musi wylać się z duszą swoją, gdy panu ani

duszy, ani myśli, ani serca pokazywać niewolno, tylko tyle ile ich przez otwór zakreślony wyjść może!! Zresztą, mości książe, a gdzie znajdziesz czas na sztukę, której potrzeba życie poświęcić, by zostać kapłanem?

— Na cóżby mnie tego uczyli, gdybym użyć nie miał prawa co mi dają? spytałem...

— Na to uczą W. Ks. Mość, odparł staruszek, abys się gorzej męczył na świecie, wszystko pojmując i czując, a na nic prócz ceregielów i formalności nie miał czasu...

Posmutniałem po tych wyrazach staruszka, ale mi się jeszcze świat nie wydawał tak czarno jak jemu, myślałem że trochę mnie straszy, ubóstwo tём swoje smarując.

Tymczasem dusza moja rozwijała się do słońca piękności z tem większą siłą, im popęd jęj dłużej był zatrzymany w przeszłym życiu. Wszystkie środki jakimi myśl z człowieka wyskoczyć może, dobre mi były: chwyciłem ołówek, pęzel, dłuto, składałem dźwięki i zszywałem słowa nie mogąc się nasycić tem com tworzył zapominając się w chwilach zachwyty.

A dostojni rodzice smutnie nad głową moją po-

trząsali głowami, nie śmiejąc się cieszyć tym wzrostem dziecięcia. Rzadki uśmiech powitał otwierającą się duszę, częściej na nie suche padało westchnienie.

— Co z niego będzie? mówił ojciec.

— Do czego to prowadzi? szeptała matka.

I w chwili gdym się puścił drogą moją z całym zapalem młodzieńca, nagle mnie z nięj zepchnięto... Uczułem jakby chłodny powiew w koło, alem być musiał posłuszny; zdawało mi się że wolne odkradnę godziny, że mi zostaną chwile, w których mi sobą, w których mi artyści znowu będzie wolno przywdziać suknie i duszę.

Ale każdy stan ma swój rodzaj niewoli, a zaden może mniej swobodnym nie jest nad ten któremu wszyscy zazdroszczą... Bóg doskonale rozmierzył dary i ciężary i za byt materialnie szczęśliwy opłacać każe najcięższem poddaństwem. W téj sferze w której mnie los umieścił, ani sercem, ani rozumem, ani natchnieniem kierować mi się nie było wolno, musiałem iść wytkniętą drogą obowiązku, przyzwyczajoności, a zboczenie z nięj wszelkie byłoby w oczach moich współbraci, rodziny, krewnych, niedarowanym grzechem.

Stan wkładał na mnie obowiązki najdziwniejsze, przykre, nieprzelknięte, ale tak konieczne, że się z nich łzami wykupić nie było w mojej sile... A napozór wszystko mnie jednak słuchało, wszystko się skłaniało przedemną... i ludzie idący pieszo zazdrościli przejeżdżającemu w karecie znudzeniu, znużeniu i tęsknocie.

O północy jechałem na to co się zwało zabawą, wracałem o trzeciej, a gdym usiadł do fortepianu, godzinę muzyki nocnej, zwano szaleństwem. Matka obawiała się żeby mi nie zaszkodziła bezsenność... ojciec poglądał chmurno na tę, jak ją nazywał, fantazję.

Jeżeli opuścił wizytę lub wyłomał się z przyjęcia odwiedzin dla przepędzenia samotnie godziny sam z sobą, dziwiono się temu jak postępkowi niewytłumaczonemu w mojem położeniu towarzyskiem; jeżeli przeniósł książkę, muzykę, sztukę nad towarzystwo pospolitych choć złotem obhaftowanych ludzi, odbierałem bury i napomnienia.

Nakoniec nie wiem po wielu wykroczeniach tego rodzaju, książkę ojciec wezwał mnie do swego gabinetu i zamknawszy drzwi, z surową naprzeciw mnie stanął twarzą.

— Mości książe, rzekł do mnie, w młodym człowieku wiele się wybaczają, ale młodość przejść powinna. Uczono cię muzyki, malarstwa, oswojono z literaturą, nie dlatego żebyś miał być jednym z tych śmiesznych amatorów co czas, pieniądze i pozycją socjalną tracą na dziwaczną namiętność, którą pospolicie zowią fantazją, a śmieją się z niej jak z umysłowej aberracji i ćwieczka w głowie; potrzeba było żebyś w. ks. mość znał to wszystko, umiał o kim sądzić, abyś wspierał sztukę i nie był upośledzonym z tej strony, ale od tego do jakiegoś zapamiętałego oddawania się sztuce, które ani stanowi, ani przyszłości twojej nie przystoi... daleko. W. ks. mość urodziłeś się może na mecenasa, ale pewnie nie na artystę...

— Mości książe! odpowiedziałem z uszanowaniem, a jeśli Bóg uczynił mnie artystą... mamże poświęcić powołanie moje mniemanemu położeniu towarzyskiemu?

— Bez wahania, rzekł starzec, wprzód cię Bóg uczynił synem moim, niż artystą... urodzenie powołuje cię gdzieindziej, i ważniejsze a większe wkłada obowiązki... nie myśl by życie nasze było zabawką i czczą reprezentacją. W żadnym społeczeństwie cała

edna jego warstwa nieużyteczną superfetacją być nie może; jako mój syn, jako dziedzic wielkiego imienia, wielkiej majątności, wielkiej sławy twych przodków, nosisz już na ramionach brzemie obowiązku wielkie, ciężkie i najpierwsze. Dać się uwieść sztuce i poświęcić na artystę, byłoby to mości książe toż samo, co zakochać się w garderobianej twój matki i dla niej los sobie zawiązać.

Oburzyło mnie to porównanie, i zawsze z uszanowaniem, ale odważnie ośmieliłem się odpowiedzieć:

— Mości książe, ależ sztuka jest także wielką misją społeczną, a nie czczą zabawką... Przez nią wyraża się nie pomysł człowieka, ale całej epoki dążność, duch całego narodu, a komu Bóg dał być tłumaczem tej myśli, czyż może ją w sobie tłumić, choćby był księciem udzielnym!

Ojciec smutnie się na to uśmiechnął.

— Mój drogi, rzekł czulej, widzę, że ci ten starý szalenciec muzykus głowę zawrócił, ale chciej się przenieść ze stanowiska ubogiego kompozytora jakim on jest, na własne, a zobaczysz że się mylisz.— Kraj potrzebuje twych usług, możesz i musisz mu być użytecznym u steru rządu, to coś ważniejszego

jak pisanie sonat, symfonji i oper... Zdaje mi się dziecko moje, że człowiekowi, twego imienia, niepotrzeba się namyślać gdy ma do wyboru zostać Mozartem lub Kaunitzem!

Odpowiedzi mi zabrakło, ojciec zatrzymał się żeby dać podzielać nauce i mówił dalej.

— Sztuka niech będzie rozrywką ulubioną, nie mam nic przeciwko temu, owszem to ci da naświecie trochę oryginalności, jakąś specjalność, coś co nie szkodzi w towarzystwie... ale posunąć amatorsztwo jój do śmieszności... byłoby to niedarowanem. O ile trochę zamięlowania zdać ci się może, tyle szalona namiętność zaszkodzić musi. Pamiętaj że miejsce twoje w radzie, uboku panującego, a nie w orkiestrze.

Wyszedłem jak winowajca, któremu przeczytano wyrok skazujący go na wygnanie; w istocie byłem na wieki wypchnięty ze świata w którym jedynie szczęśliwy być mogłem. I ze łzą w oku stanąwszy w oknie, spojrzałem na przechodzącego przez ulicę starego mego nauczyciela, który wesóło w podartym fraku szedł na repetycję symfonji swojej do W. Teatru... zazdrościłem mu ubóstwa i talentu i szczęścia które w nim czerpał.

Jeszcze oczy miał wilgotne od łzy niedarowanej mężczyźnie, gdy mi znać dano ażebym przywdział mundur i jechał z ojcem na dwór królewski...

Urodzenie dawało mi na nim jedno z najpierszych miejsc w kraju...

Traf chciał bym znalazł tu przyszłą towarzyszkę żywota, anielską duszę, która jak ja do innego zrodzoną była świata; jak ja czuła sztukę i gotową się jój była poświęcić, a urodziła się na stopniach tronu, z złotą koroną obowiązków ciężącą na skroni. Los wcześniej ją przeznaczał na towarzyszkę nieznanemu jakiemuś władzcy, jako rękojmię pokoju, zapłatę traktatu, węzeł przymierza lub potrzebnego gdzieś sprzymierzenia; a to przecucie poświęcenia wcześniej jój czoło powiodło smutkiem i tęsknotą. Na wieczorze w Sans-Souci zbliżyłem się do niej, przemówiłem i w pierwszych kilku myślach z ust jój nieśmiało wybiegłych. poczułem duszę o jakiej marzyłem... Ale mógłbym mimo położenia mego pomyśleć ażeby kiedy moją być miała? odpychając to zuchwałe przypuszczenie, cały się oddałem roskoszy zbliżenia do kogoś co tak czuł, tak widział, tak jak ja tęsknił ku pięknu i ideałowi.

Księżniczka była w istocie rzadkiem zjawiskiem, bo nie brakło jej z przymiotów które dajemy wymarzonemu wyobrażeniu naszemu postaciom. Wdzięk twarzy, ruchu, spojrzenia, piękność nadziemską, serce anielskie, duszę myśli pełną i umysł miała męskiej siły... Rozum nie walczył w niej z uczuciem związany z niemi nierozzerwanymi węzły, wyobrażenia nie panowała i nie leżała martwą niewolnicą i serce było swobodnie i myśl szła sobie pewna. Wszystko w tak idealnej równowadze znajdowało się w tej istocie, jakby Bóg chciał w niej wzór tylko doskonałości ukazać... Ale nikt nie znał tego skarbu, który ja nawet odgadłem raczej niż odkryłem.

Są słowa co leżą niepojęte dla wielu, dla wybranych tylko zrozumiałe; stu ludzi przeszło przed hieroglifami nim je wyczytał Champollion... to co dla innych było pospolitym wyrazem zwyczajnego codziennego bytu, dla mnie stało się objawieniem.

Wzrok, dźwięk jej głosu, dopełniał czego nie było w mowie samej, zdziwiłem się światom moim w których myśl jej gościła, i ona zdumieć się musiała, zem ją pojął lepiej od innych. Spojrzeliśmy na siebie i przez oczy zamglone chłodem powszednim, wyczytaliśmy dusze nasze.

Jakże tu nie wierzyć w nadziemskie i nieznanne prawa harmonji wiążące pewne istoty tajemniczymi węzłami? Codziennie mijamy obojętnie nie rozpoznając ludzi dla których nie jesteśmy stworzeni; a jedno wejrzenie, jedno słowo nierozłącznie nas wiąże z istotą dopełniającą i wyznaczoną na drugą dla nas połowę...

Ona jak ja kochała sztukę, i jak ja skrepowana dołą, poświęcić się jej nie mogła, tęskniąc jak dusza po rajcu do zamkniętego jej świata. Jeden stary nauczyciel oboje nas rozwinął, jedną drogą chodziły myśli nasze, jedne mieliśmy upodobania, jeden sąd o wszystkim.

• Różniły nas tylko odcienia drobne, które harmonji tej jeszcze dodawały wdzięku; ona poglądała na sztukę ze stanowiska piękna, jam już przeszedł z niego na punkt myśli, celu i ducha; ona chciała by duch i cel były w niej mimo wiedzy artysty, natchnione przez Boga... dane jej jak zapach kwiatom, jak barwa niebiosom, samą naturą ich organizacji; jam pragnął by uniesienie szło w parze z myślą potężną co by je dźwigała i popychała do kresu oznaczonego wcześniej na wytkniętej drodze...

Stało się, żeśmy się oboje przekonali wzajemnie o

słabości naszych mniemań i sądów i rozmowa tak zaszła daleko, żeśmy się nie postrzegli jak godzina wybiła o której dwór wchodził.. Ochmistrzyni trąciła księżniczkę, ojciec mnie odciągnął na stronę i czarowna chwila prysła jak bańka mydlana.

— Mój drogi, rzekł ojciec, bądźże panem siebie, że księżniczka piękna, miła i pełna talentów, nie idzie za tem żebyś się dla niej na wygnanie narażał... i ściągał na siebie nieukontentowanie pana... Możesz ją wielbić zdaleka jak my wszyscy, ale powtarzam ci, potrzeba być panem siebie zawsze i wszędzie.

Tak jest! potrzeba było być panem siebie! a raczej sługą ceremonjału, który zakreślał życiu kierunek z jakiego wyjść nie miało. Były godziny wesela i smutku, jak były śniadania i wieczory, godziny sztuki jak snu godziny, chwile na wylanie się uczuć, skromne i przyzwoite jak chwile reprezentacji i munduru; z munduru i z przyzwoitości nigdy wyjść nie było wolno.

Z bólem serca pożegnać musiałem staruszkę, który mi otworzył pierwsze światy harmonji i dźwięku, i dał poznać ich budowę; ojciec bojąc się dalszego wpływu jego na rozmarzony mój umysł, sownie go nagroził, i kazał usunąć; starcowi łza się zakręciła w oku jak mnie, westchnął i poszedł...

Wybiegać musiałem tajemnie, żeby pociechu, w kątku poczciwą dłoń jego uścisnąć, a żaden złodziej nie wykrada się tak jakem się ja musiał wyrykać żeby go czasem odwiedzić.

Staruszek ów co życie całe żył sztuką, jak ryba mieszka w wodzie, który nic nad nią nie znał, i nic prócz niej nie cenił, był typem w swoim rodzaju. Sztuka dla niego była koroną wszystkiego... a pojmował ją tak szeroko, tak potężnie, że sam będąc muzykiem, objawy jej plastyczne, sztukę w słowie, sztukę w barwie, sztukę w ryzie prostym zarówno rozumiał i nią się unosił. Byłto prawdziwy kapłan piękna, ubogi, obojętny na dostatek, pełen serca i pewien w duchu, że z nieczystego naczynia czysty napój wypłynąć nie może. Pamiętam go raz, gdy wielki ależyciem szalonem splamiony artysta, wykonywał przed nami dzieło swoje, jam się unosił, starzec głową potrząsał.

— Słuchaj księżo, rzekł w ostatku... to piękne.., piękne, nie przeczę, ale jak nawpół pijany i zużyty człowiek utworzyć może co wzniosłego? My słuchacze kładziemy piękno w tę muzykę, w te ramy, które on buduje sam nie wiedząc co składa. Pojmuje malarza jak Fiesole, co modlitwą przypatruje się, co

postem się umocni do stworzenia arcydzieła, ale jak pojąć podniesienie ducha w zużytem ciele, w zwalanej jak ta istocie!

Tak starzec ten pojmował sztukę... z powagą, ze drzeniem zbliżając się do mistrzów i w mistrzach widząc wyższe, namaszczone istoty.. Życie jego było dla mnie wiecznym przedmiotem za zdrości, nie nad nie prostszego... Izdebka na czwartem piętrze, kilka ślicznych starych rycin na ścianach, stosy nut na podłodze, fortepian w jednym kącie, pulpit i skrzypce w drugim, a wpośrodku wielki, wonny, codziennie świeży bukiet kwiatów. Człowiek ten bowiem i sztukę stworzoną przez ludzi i pierwowzór boski zarówno czuć umiał...

Kwiat, niebios, zieloność, drzewa, śpiew ptaka, szum wody, wszystko w nim budziło tę świętą tęsknicę niebios, która jest może ostatecznym jej celem. Bo dzieło zpoza którego nie wychodzi myśl nieśmiertelności, nie może się nazwać dziełem sztuki.

Starzec mój wszystkimi porami, rzecz można wciągał w siebie to uczucie piękna, którego ja pragnienia zaspokoić nie mogłem; patrzałem nań jak na najszcześniejszą na ziemi istotę. I był nim mój pocz-

ciwy nauczyciel... nic nie wyrównywało spokojowi jego duszy i dobroci serca, a każdy dzień karmił go szczyptą rozkoszy czystej, którą Bóg zsyła tylko wybranym swoim. Dla niego wszystko było tą czystą rozkoszą: widok poranku, odgłos poczciwego uczynku, twarz primadonny, uśmiech dziewczęcia i zapach kwiatu.

Sam jeden na świecie, ze skrzypką pod pachą i uśmiechem na ustach szedł sobie spokojny do celu, który jasno świecił przed nim. Uczucie religijne wzmacniało go jeszcze i codziennemu szczęściu dawało nadzieję wyższe nad nie. Nie znałem człowieka któryby lepiej pojął życie i silniej się do niego uzbroił; miał zmysł wszelkiego piękna, cześć dobra, zapal cnoty, gotowość do ofiary i spokój duszy niezachwiany niczem.

Często śniadał bułką i mlekiem, często grosz zaszanowany oddawał ubogiemu, i śmiejąc się z wywróconych swych kieszeni szedł po suchej kromce chleba oddychać wonnem powietrzem, lub słuchać wesołej piosnki, która mu wyciskała łzy rozkoszy...

Obok jego życia moje otoczone wszystkiem co tylko pieniądź i dostatek dać może, jakże było nędznem

i pełnem męczarni! jakżebym był ochotnie zamienił je na to śmiejące się i rozpromienione ubóstwo! Zazdrościłem mu! zazdrościłem... ale zazdrość ta była tylko męczarni moich dodatkiem... Prokowałem na różne sposoby urządzić tak godziny moje, by część ich oddać sztuce, i dogodzić pragnieniu które przechodziło w niepohamowaną namiętność, ale na to nie było sposobu. Dzień mój był tak zajęty obowiązkami czczemi po większej części a nieprzełamanemi, że najmniejsza z nich ofiara, dawała mi się czuć natychmiast. Ojciec widząc moje skłonności, tém silniej mnie strzegł, ażebym się im nie mógł oddawać; niekiedy nawet sztydził trochę z mojego artyzmu i w ogóle z literatury i sztuki wskazując że one nie są czem mi się zdawały, że ostatnie słowo ludzkości poza ich granicami leżało. Musiałem z duszą pełną dźwięków i poezji, siedzieć nad Vatel'em i Grotiussem, nad Sau'em i Sismondim gotując się na przyszłego administratora, na dyplomata, na jedno z wysokich stanowisk krajowych, które mnie czekać się zdawały.

Położenie nasze u dworu dzięki związkom krwi jakie nas z nim łączyły oddawna, zabiegom ojca i sprzyjającym okolicznościom, dawało najświetniejsze

nadzieje... a! jaby'm był może wołał niełaskę i wygnanie, gdyby nie ta anielska istota, do której codzień przywiązywałem się więcj.

Mamże wam po kropelce liczyć wszystkie życia boleści?? Któż je ze mną poczuć zechce? Najdziwniejszym zbiegiem okoliczności, to o czem myśleć zdawało mi się zuchwalstwem, szczęście którego pragnąłem najbardziej na ziemi, zaświeciło mojemu życiu, ale nierychło, ale okupione niejedną łzą ukrytą... i przyszło po to tylko, by mnie uczynić we dwoje nieszczęśliwym i na wieki nadziei nawet wyłania się pozbawionym. Ona i ja cierpieliśmy na jedną chorobę, jedno mieliśmy upodobania i zarówno skrępowani, kradliśmy tylko rzadkie przyjemności życia...

Zostałem rządcą w obszerniej części kraju, a z dostojnością tą i jej obowiązkami, reszta mojego czasu i swobody umysłu uleciała! Od rana do nocy musiałem być urzędnikiem któremu sumienie ani się wyręczyć ani odpocząć nie dozwala; reprezentować, przyjmować, mówić o nicach, podpisywać drobnotki... a gdy najpiękniejsza myśl przychodziła mi do głowy; ukłon ją we dwoje rozcinał lub wyjście do salonu zabijało. Oboje nie byliśmy panami życia

z którego tylko okruchy drobne pozostawały dla nas, a każda ubiegająca czczo i daremnie godzina niepowrotna napelniała serca gorczą...

Wiek zamiast stępić namiętność nieugaszoną, podsycał ją tylko i gwałtowniejszą czynił; smutek wśród szczęścia pozornego stawał się głębszy i nieprzearty... a myśli zamknięte jak w klatce w piersi której mi otworzyć nie było wolno, szarpały nią tyrańsko.

Wszelki inny popęd zrodzony z ciała i zgnilizny, czas trawi i gasi, ale nie duchowe pragnienie, które się wzmaga, rośnie, potężnieje... zabija!

Byłem jak niemy którenby w duszy wyśpiewał poemat cały, a podzielić się z nim nie mógł; gorzej, bom wysnuć nie potrafił, to co mi się tylko w snach i na jawie marzyło.

Wiele jest jeszcze w świecie nieznanych, nieopisanych, nietkniętych skalpelem boleści, z których nikt się nie spowiadał, lecz nie wiem czy może być straszniejsza nad moję. A jednak i tą nie okupiłem przeszłego żywota... a w nowym nagromadziłem grzechów nowych, za które jeszcze czekała mnie pokuta...

Gdym z cielesnej powłoki uleciał znowu w świat

zaziemski... zdziwiłem się, wśród grzechów zobaczywszy... partyturę mojej opery...

— Ale to najczystszy płód mojej duszy! zawołałem, to jej krzyk do Boga!!

— Tak, odrzekł psychostata, ale wiesz ile twych obowiązków opuściłeś pisząc duety i finały do Fausta twego! Na piersi twój teraz leżało brzemie wielkie, nigdyż nie zabyłeś o niem dla dogodzenia namiętności? Każde życie ma swoje obowiązki i ciężary... co w jednym może być zasługą, to w drugim będzie grzechem... Pieśni artysty słuchają Bóg i ludzie, ale ty miałeś prawo być artystą, gdyś był powinien myśleć o powierzonych ci obowiązkach, o chlebie powszechnym ludu, spokoju, bezpieczeństwie... i środkach dźwignienia ku Bogu tego co go jeszcze nie widziało?

Zamilkłem, skinął duch i dusza moja poszła na pokutę znowu... której ostatnia wybija godzina...

To mówiąc, duch począł pieśń cudną, ale jej dźwięk rozlał się w powietrzu, uchodził słabo... i po chwili uciekł gdzieś w obłoki.

IX.

Zasłuchani, siedzieliśmy każdy na swoim miejscu i nie taję się, że spowiedź ksiązęcego ducha większe na mnie zrobiła wrażenie, niż wyznania żebraka... Towarzysze moi mniej może uczyli ją i zrozumieli odemnie, ale i na nich ten śpiew cichy, żalu pełen, boleścią przejęty wywarł wpływ widoczny... Pan Henryk zadumał się głęboko, panna Celestyna wzdychała, pani podkomorzyna choć spoglądała na stolik z herbatą, kiwała głową bardzo czule. Nieklaszewiczowi rumieniec wystąpił na jedną połowę twarzy, a podkomorzy to ramionami ruszał, to gębą wykręcał nie śmiejąc się odezwać. Z za drzwi drugiego pokoju zdumiona twarz subretki występowała pełniejsza ciekawości, rozdrażnienia, podziwu, niż rozczulenia i współczucia.

Co do mnie, przyznam że udawał obojętnego, ale z nałogu tylko; przywykły kryć się ze wszelkim objawem uczucia, które w biednym pisarzu uchodzi za komedję lub targowanie oryginalności, nie pokazywałem po sobie, ile mnie obeszły cierpienia nieszczęśliwego ducha, tak blisko spokrewnionego ze mną, nie krwią... nie mam bowiem szczęścia należyć do żadnej rodziny książęcej, ale powołaniem.

Wymogłem nawet na sobie, że poszedł do okna niby przechodzącej już przy patrzeć się burzy... Wieczór był malowniczo piękny... jedna strona niebios jeszcze okryta siwym, błyskawicami poszarpanym obłokiem, druga wśród jaskrawo oświetlonych chmur już jaśniała słońcem zachodzącym wśród najdziwniej ubarwionego nieba... Tęcza, lazuruwe i śnieżyste pola... wszystko tam było razem, aż do zielonych dymów najrzadszych w powietrzu, aż do purpury, do złota i nieopisanych świetności, które Bóg stwarza na podziw ludziom, a na które ludzie patrzeć nie chcą.

Przyszło mi to właśnie na myśl patrząc przez okno na ten horyzont tak przystrojony, ile tak piękności gaśnie niepostrzeżonych, za które nikt uwielbieniem, modlitwą, spojrzeniem nie podziękuje,

w chwili nawet gdy pierś wzdycha tęskna za czemś niepochwyconem i pragnie pokarmu. A! karmim bo się jak Chińczycy jedzący robaki, ślimaki, węże, psy, koty i gniazda jaskółek, szukając strawy dziwnej byle nowój, a odpychając zdrową którą nam sam Bóg przygotowuje. Biegniemy za niepochwyconem, a gardzim tém co pod nogami leży. Ileżto rozkoszy traci człowiek w życiu przez zły kierunek wyobraźni, umysłu, przez serca zepsucie, gdy tyle ich omija świętych, prostych i każdemu dostępnych.

Tak dumalem naprzeciw okna, myśląc już kazać konie zaprzęgać, gdy pani podkomorzyna podała mi rękę do herbaty już w drugim pokoju dla nas nalanój, około której ze skromną a figlarną minką stała pod czarny fartuszek ręce założywszy gosposia podkomorzego.

Poszliśmy wszyscy nawet Nieklaszewicz któremu najtrudniej było ręce od stolika oderwać, bo był prawie wrósł weń, a twarz jego dziwnie wywrócona i rozplomieniona dowodziła że nie był nieczułym słuchaczem ciekawych spowiedzi które pan Henryk tak żarliwie wywoływał.

Milczeliśmy dosyć długo mieszając herbatę w filiżankach niegdys herbownych, a dziś pootłukanych i

wytartych tak, że na niektórych tylko pawi ogon i część dewizy familijnej dostrzegać się dawały. Godło to niesłychanie zagadkowe składało się z jednego tylko wyrazu który tłumaczyła zapewne jakaś legenda średniowieczna... Z kolei zbierając litery po wszystkich filizankach, wyczytałem:

NUNQUAM.

Studzy to wykładali jakem się później dowiedział, Niunka i stosowali do podkomorzego który władzę i majątek skutkiem niunkowstwa swego abdykować musiał.

— Wiesz waćpan dobrodziej, rzekł stary fanfaron po chwili zpod oka poglądając na Henrykę..... to prawdziwy cud te gadające stoliki... gdybym nie widział, nie słyszał i nie znudził się, tobym na honor, ma foi nie uwierzył.

— Ale jakże się można było znudzić? zapytał Henryk oburzony.

— Najprostszym sposobem! Co mnie obchodzi proszę cię, jakiś tam chronolog, niedowarzony poeta, który jedną tylko odę pamiętną wyśpiewał, jakaś tam jójmość, jakiś żebrak i poroniony artysta...

— Jakto, papa nie uczuł dramatyczności jego wy-

znań? przerwała panna Celestyna naczytana francuzkiemi romansami, mnie to poruszyło do głębi.

— O! to też moja duszko, zawołała podkomorzyna zaledwie mówić mogąc, tak pełne miała usta sucharka, tobie o poruszenie nietrudno! ciebie ten sentymentalizm zabije!

— Nie ona temu winna, wystąpił w obronie brat... wszyscyśmy tacy w terażniejszym wieku...

— I dobrze wam z tém! zawołała podkomorzyna.., wszyscyście do niczego, co się zowie do niczego; nudzi was praca, nudzi zabawa, ludzie, wy sami siebie, życie, miłość, i nie wiedzieć co z wami zrobić.

Pan Henryk uczuł się w obowiązku ten fenomen filozoficznie ułożyć.

— Ale bo, rzekł, kochana mamó, ludzie są inni, świat się jeszcze do ich potrzeb nie zastosował, jest to chwila przejścia.

— A to niechże przechodzi! zawołała doń żywo podkomorzyna, od czasu jak o przejściu słyszę, jużby powinno być daleko.

— Cierpliwości, kochana mamó, uśmiechnął się pan Henryk.

— Daj mi pokój, ja już nowego porządku rzeczy pewnie nie zobaczę, i to mi wszystko jedno.

Syn był tak grzeczny, że dłużej matki nawracać nie chciał, ruszył ramionami, kiwnął głową i wziął się żywo do herbaty.

— No, bądź co bądź, dodał podkomorzy, a możemy się pochwalić że dzisiejszy experiment nieźle się nam udał!

— Nieźle, excusez du peu! a to cud, ni mniej ni więcej!

— Cud! powtórzyli wszyscy, prócz Nieklaszewicza który nos i usta do filiżanki schował żeby się nie odzywać.

— Cud który jeszcze się powinien powtórzyć, żeby nam dwa duchy ostatnie żywoty swoje opowiedziały.

— A broń Boże to będą znowu jacy nieszczęśliwi artyści, albo co gorzej filozofowie... i do tego gaduły... to gotowe się Bóg wie jak długo pociągnąć! zawołał przestraszony podkomorzy...

— Przecież papie uprzykrzonymi gośćmi nie jesteśmy! rzekł Henryk.

Podkomorzy spojrział na subretkę, ale gorąco przeciw niegościnnosci zaprotestował.

— Jeślim powiedział to nie dlatego pewnie żeby tych miłych gości się pozbyć... na Boga, ma foi, dawno ich w Monplaisir nie miałem... ale znużeni być musicie...

— Ja tylko rozłakomiony! zawołał syn.

— Ja podzielałam uczucie Henryka! szepnęła panna Celestyna — nie codzień się trafi zajrzeć! natamten świat drugi.

— Przyznam się, przerwał podkomorzy, że też dotąd nie wieliliśmy się o nim dowiedzieli.

— Ba, rzekł Henryk, poczekajcież państwo, możemy w końcu duchów spytać o co się nam podoba, kazać im prorokować przyszłość, zgadywać tajemnice...

— Doprawdy! toby było zajmujące!

— Kończmy tylko herbatę! nagił Koryfeusz...

— Ale zmiłuj się, odezwała się matka, druga filiżanka...

— Henryko! nalewaj, a prędko!!

— Tylko zmiłuj się Henryku, dodała schylając się ku niemu siostra, sam sobie nie przywłaszcz wyroczeni, pozwól i nam z niej korzystać.

— Kolej! wszyscy! zaczynając od dam! zawołał pan Henryk..

— Ja moje kolej odstępuję komu się podoba, odezwała się podkomorzyna, a nawet siedzenie przy stoliku odstąpiłabym Henryce...

Gospościa się zaczerwieniła, syn oburzył.

— Kochana mamó... toby mogło wszystkie szyki pomięsząć, inne warunki i inne działania i stolik gotówby przestać mówić... a jeszcze mamy dwa duchy...

— Jeszcze dwa duchy! mnie się zdawało że już jeden tylko! ziewnęła podkomorzyna...

— Dwa! liczę dobrze... w klajstrze jeden, w bronziku drugi siedzi...

Gdy to mówiono, herbata się skończyła, a Nieklaszewicz pierwszy otwarłszy usta, ukłoniwszy się nisko, wyniósł do pokoju w którym stał stoliczek i zasiadł na swoim miejscu; za nim pogonił pan Henryk, poszła panna Celestyna, jam się także wysunął, a nareszcie z westchnieniem jak do ciężkiej pańszczyzny dała się ściągnąć i podkomorzyna.

Gospodarz na chwilę szepcząc coś, może o wieczery Henrycie, przyzostał trochę, ale i on wkrótce się we drzwiach ukazał.

Niecierpliwy pan Henryk już był w pozycji, którą Nieklaszewicz jeszcze przed nim zajął i wnet poczęło się tajemnicze działanie.

Ale po herbacie szło ciężej jakoś i powolnie, w milczeniu oczekiwaliśmy głosu nastrojeni do niego ostatnimi wyznaniem książecego ducha, gdy stolik się zakołysał, podkomorzy zzymnął ramionami, jakby już z tego źle rokował o przyszłej spowiedzi, ja nieco się zbliżyłem.

— Kto jesteś duchu? zawołał pospiesznie pan Henryk.

— Filipek, proszę Jaśnie Wielmożnego pana!

Na te słowa bardzo wyraźnie wesołym dość głosem wymówione, wszyscy osłupieli, z drugiego pokoju nadbiegła piękna subretka, a podkomorzy przyskoczył do stolika, wołając:

— Co? co?

• — Filipek, do usług Jaśnie Wielmożnego pana, powtórzył głos raz drugi.

— Co u kata? albożes umarł? zapytał sam gospodarz.

— A! umarłem! proszę Jaśnie Wielmożnego pana! już musi być temu dawno, bo mi tu w tej dziurze wiekiem się wydaje pokutowanie.

— Gdzie siedzisz?

— W kłajstrze!

— Otóż się popadł! rozśmiał się pan Henryk, ale opowiedzno jak się to stało?

— Zaraz, proszę Jaśnie Wielmożnego pana, bo też i rad jestem, że się odezwać mogę, takem się już wymilczał... Jaśnie Wielmożni państwo mnie znali przecie, że nie byłem złym człowiekiem... jak Boga kocham, nie gorszym od drugich, a ot przyszło tak okrutnie się męczyć!

— Ale bośmy waści dawno z oczów stracili, odezwał się stary, odpowiedzno porządnie, jakie cię tu lichy zepchnęło...

— Ot! szczęście, proszę pana, odpowiedział Filippek... Państwo mnie przecie pamiętają, nie było człowieka, żeby mu się tak wiodło jak mnie. Pan Bóg mi się dał urodzić szlachecko to prawda, ale tyle też wszystkiego: przyszedłem na świat goły jak palec, sierota, bez opieki i powinienem był zginąć... ale dołem miałem osobliwszą. Już to państwu wiadomo, że z kuchty u Jaśnie Wielmożnego podkomożnego, zem się aplikowałem...

— Do rądlów... poszepnął ktoś...

— Do książek i do usługi, mówił duch, przyszedłem do kredensu, wyrosłem z popychadła na lokaja, na kamerdynera, na pisarza prowentowego i na ładnego wcale chłopca. A także jakoś byłem

śmiały, że głowa mi się zawracała od nadziei, i wysoko patrzałem bardzo... to mnie zgubiło.

— Jakto, zgubiło? zapytał podkomorzy.

— A oto niechno JW. pan'posłucha jak to było; żeby mi się nie tak wiodło, nie byłbym sobie tyle grzechów nazbierał... Zostawszy prowentowym pisarzem z kuchty, a mając za nadrzę papiery szlacheckie, zdawało mi się, że powinienem zostać najmniej komissarzem, i porzuciwszy dom państwa, poszedłem naprzód na ekonoma. Domyślałem się także że zem się powinien bogato ożenić, i tak wszystko com tylko zamarzył, do joty mi się spełniło. Naprzód dostała mi się ekonomja, a! jaka! folwark wyborny, dziedzic o sześćdziesiąt mil, mój poprzednik tak kradł, że choć i ja niczem się żywił, jeszcze za extra uczciwego mogłem uchodzić, słowem złote jabłko! sprawiłem sobie najdyczanke, cztery siwe konie, kapelusz, przyjąłem służącego, ubrałem furmana, nauczyłem się grać w preferansa i chłopom pod karą najsroźszą przykazałem się nazywać panem Rządca.

Tymczasem rzuciłem okiem po okolicy, czy gdzie panienki nie napatrzę; a tuż pod bokiem siedziała jakby się dla mnie urodziła.. Byłato córka dzierza-

wcy, który na starość kupił sobie trzech chłopków, gospodarzył i zmarłszy jedynaczkę z matką zostawił... Choć część ta była wcale nie zła, ale kobiety, rady sobie dać nie mogły, zadłużyły się, żydzi opadli, Abraham stał się plenipotentem i kiedym pierwszy raz przyjechał, już nad nimi administracja wisiała... Panna była śliczna jak lalka, gospodyni co się zowie, imie piękne, speranda sukcesji po wuju który mógł lada dzień umrzeć i całą wieś zostawić, bo już na astmę zapadł... a kawalera ani jednego. Ja tedy w konkury, a naprzód niedoimkę z kieszeni zapłaciłem i od administracji uwolniłem częśćkę, potem nuż się przysiadając; nawet trochę kłamałem przed nimi, że niby coś naksztalt dzierzawy trzymam... Kobietom gwałtem potrzeba było opiekuna, oświadczyłem się, przyjęto, przyspieszam ślub, żenię się...

— E he! pomyślałem sobie zaraz, kiedy tobie Filipku idzie tak jak po maśle, tylko zażadasz, to i jest, bądźże serce śmielszy i nie kontentuj się lada czem. Tak też zrobiłem, i najtyczankę sprzedawszy, koczyk sprawuję, lokaja przyjąłem, i całąm gębą pan. A cóż proszę JW. pana, w pokojach napatrzyłem się jak panowie chodzą, siadają, jedzą, mówią i

milczą, tom małpować potrafił, nawet w siud tud i francuzczyzna mi się odbijała... Z daleka aniby mnie kto poznał zem rądle czyścił... W pół roku po ożenieniu, buch, wuj umiera, i sukcesja sama do rąk idzie... E! tu już żartu nie ma, kiedy pan to pan! Słuchajno Filipku kochanie, mówię sobie, nazwę cię czterema literami, jeśli nie pójdiesz daleko... wido- cznie ci się dola śmieje, a no śmiało!...

Zadarłszy tedy nosa ruszam; a żonę miałem potulną jak gąskę, poczciwą, łagodną, i teszczę gdyby nie to że ciągle stękała, wyśmienitą. Ale miała ten jeden defekt że co chwila wołała: nieszczęście! i lamentowała nieznośnie choć nie było czego. Żonie choć nie grała, sprawiłem fortepian, kocz, pięć koni, liberję. Dom wystrychnąłem z pańska i niktby mnie ze starych kolegów nie poznał. Jedno mnie jadło tylko, bywało, to, że jak wspomnę na kuchnię, rądel i pochodzenie, kwaśno i straszno, żeby mi tem kto w oczy nie rzucił. Nie miałem odwagi i sam się do tego przyznać, bo przed żoną taką sobie ułożyłem historją że się ani domyślała mojej kreacji. Takem pana udawał, mogę się pochwalić, że i prawdziwych zwodziłem; aby trochę sprytu, czy to tak trudno! A jednak długo bardzo ze snu się budząc,

to, zamysłiwszy się zrywałem się czasem mając na ustach:

— Co pan każe... Szczęściem nigdy mi się dotąd nie wyrwało.

Od tego wszystkiego głowa coraz się więcej zawracać zaczęła, i trochę się zrobił ostry dla ludzi... trochę ciężki dla żony, trochę przykry dla tesczy.

Tymczasem wszystko szło, szło, kleiło się jak z płatka: lata urodzajne, zapasy wzięliśmy wielkie, kapitaliku trochę, owych trzech chłopów sprzedałem i drugą wioskę kupiłem na swoje imię. Byłem wcale bogatym człowiekiem i w miarę jak w kieszeni przybywało, takem się zmienił, że sam nie poznałem siebie.

A taki jak kto głośno krzyknie, lub drzwiami stuknie, zawsze to nieszczęśliwe :

— Słucham JW. pana! na myśli. Gniewałem się na siebie i rady na to nie było.

Ale trochę się zebrawszy na odwagę, i z Jaśnie Wielmożnemi buszowałem sobie, a że byłem gościnnie, grzeczny i pieniądze się mnie trzymały, wszędzie wstęp miałem i poszanowanie.

W lat pięć zdarzyło się nabycie za bezcen, interes złoty, kupiłem trzecią wioskę.

— Co ty pleciesz, Filipku? zawołał podkomorzy.

— A! jak pana dobrodzieja szanuję prawda, rzekł duch, trzecią wioskę, dwieście dusz i w jakiej ziemi! Stałem się całą gębą panem, to téż i przystąpić już do mnie było trudno! Zacząłem myśleć o marszałkowstwie lub deputacji.

— Kto? ty! ruszył ramionami podkomorzy.

— Ja! ja! JW. panie! a co to święci garki lepią, czy to bym ja marszałkiem być nie potrafił? wolałbym służyć powiatowi całemu, niż jak dawniej z przeproszeniem, jednemu JW. panu! Wiedziałem że ze mnie kontenci nie będą, ale i tom wiedział, że mnie drugi raz wybiorą, bo nie każdemu chce się urzędować, tracić, w domu nie siedzieć i obiady dawać... a krzyki znosić. Na pierwsze wybory pojechałem z kuchnią.

— I z kuchcikiem! rzekł podkomorzy pocichu.

— Dałem obiad, mówił Filipek, postawiłem pięćdziesiąt butelek szampana, popiliśmy się do serdeczności, wyczałowali nadzwyczajnie, jeden omackiem wracając odemnie nogę złamał, drugi głowę przy świecy osmalił cygaro zapalając, a ja zostałem wybrany marszałkiem...

— I byłeś nim? zawołał podkomorzy.

— Przez sześć lat, JW. panie! odparł Filipek, a takim marszałkiem, że jeszcze mnie dziś wspominają...

— To nie sztuka, zagadnął podkomorzy, każdego wspominają byle go niestało.

— Może być JW. panie, ale ja taki byłem co się zowie dobrym urzędnikiem, jeść i pić dawałem su-
to, kłaniałem się, całowałem, ścisnąłem, pochlebia-
łem i chciałem nic zresztą nie robić, bo sekretarz mnie
wyrećcał, byłem ulubieńcem powiatu... Dalibóg na
wszystko najwięcej tak sprytu potrzeba, a resztę
wmówić można ludziom począwszy od poczciwości,
aż do rozumu. Jedna rzecz tylko, przyznam się mę-
czyła mnie i życie całe i szczególnie w czasie urzę-
dowania mojego: bagatel, wstyd powiedzieć, ale tak
przykra jak z mora... Bywało ktokolwiek w domu
czegośkolwiek zawoła, zawsze mam ochotę zerwać
się i odpowiedzieć.

— Słucham jasnie panie!

Musiałem się kasać za język ustawicznie żeby się
nie wyrwać ze starą służbistością moją; a jak mnie
to męczyło, wypowiedzieć trudno. Jużem był na-
brał i miny i fantazji pańskiej i rozpierałem się po

krzesłach i kanapach, czasem nawet z nogami. a byle kto krzyknął, podaj wody! lub co podobnego, wiecznie miałem na języku to utrapione:

— Słucham Jaśnie panie!

Jeszcze mnie to gorzej niepokoić zaczęło, gdy mnie raz żona spytała, dlaczego przez sen odzywam się co kilka minut.

— Słucham Jaśnie panie!

Rozśmiałem się z tego, ale mi to gorzko przelknąć było.

Wszystkoby to jakoś może było się połatało, gdyby nie przykra okoliczność, która mnie pozbawiła życia, jedyne nieszczęście jakiego doznałem, ale straszliwe.

Byłem panem kilku wiosek, marszałkiem powiatu, ulubieńcem współobywateli i osobą ze wszech miar poważną, nieprzyjaciół tak prawie jak nie miałem; utylem, wyokrągląłem i błogo uśmiechałem się do przyszłości niekiedy umyślnie spoglądając w nizinę z której wyszedłem, a nawet coraz rzadziej, słucham jaśnie panie, nawijało mi się na usta, gdy licho mi naniosło szerepetkę, człowieczybę, włóczęgę, który mnie do grobu doprowadził. Oj! nie ma najmniejszego robaka któregooby się bać nie było potrzeba, im mniejsze, to tém gorzej kasa.

Jeszcze urzędował, gdy przyszło mi za niedoimki nagromadzone przez nie wiem wiele lat, wziąć w administrację kawałek wioszcyny niejakiego Wałdaj'a. Długi, dłużki, rekrutowe, podatki, i różne tego rodzaju należności przechodziły wartość części, która za nie odpowiadać miała. Gdy przyszło podpisywać rozkaz wzięcia w administrację, sekretarz mój zrobił mi uwag kilka i szepnął że Wałdaj był bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Widzi pan marszałek, rzekł, że od lat dziesięciu należało mu zabrać wioskę a jednak nikt się na to nie odważył...

— No! to ja się odważę, zawołałem w uniesieniu.

— Ale JW. marszałek będzie miał nieprzyjemność.

— Co mi tam! widzisz waćpan że to nieuchronne, zwlekać niepodobna...

— Ale Wałdaj wyzwie...

— Nikt się nie pojedynkuje za to co robi w życiu publiczném...

Ucieraliśmy się trochę z sekretarzem, ale on widząc że mnie nie przekona, bo mnie licho jakieś niosło na tę skałę o którą się rozbić miałem, zamilkł, jam podpisał papier i zapomniałem o tem szczęśliwie.

W kilka dni, jeden, drugi, trzeci, przychodzą do mnie z zapytaniem, czy to prawda, że część Wałdaja poddał administracji; ten i ów, dziwią się odwadze, aż i ja sam uczułem że nie znając człowieka, trochę się pospieszył, zacząłem o niego rozpytywać i po trochu dowiedziałem się co był za jeden; z dependenta przy sławnym mecenasie T..... sam później plenipotent kilku drobniej szlachty, gracz, opiwosz, pojedynekowicz, zresztą człek szerokiej gęby i sumienia, krzykacz sejmi kowy, uwanturnik który wazył się na wszystko — ot, jak mi odmalowano Wałdaj'a. Cały powiat miał go z pozwoleniem za łajdaka, ale się go bano jak rozbójnika, bo komuś tam na rynku plecy kijem przekroił, drugiemu pięć palców na policzku wycisnął, do trzeciego był strzelił i choć chybił, ale nastraszył śmiertelnie, tak, że owa zwierzyna chorowała lat dwa potem; oprócz tego regularnie miewał najmniej jedną awanturę każdych kontraktów dubieńskich, i co rok odsiadywał gdzieś grzechy...

Koniec końców gdy administrację przyszło komuś oddać, nikt jój za nie przyjąć nie chciał, i ten tém, ten owém wymówili się, aż dopiero osobisty nieprzyjaciel Wałdaja, niejaki Karpuńko ex-kapitan,

który już miał kilka spotkań z nim i różnego w nich doświadczył szczęścia, podjął się administrować.— Byłem tak nierozważny, że w niedostatku innego, Karpuńkowi oddałem administrację.

W tygodniu pan Wałdaj, który jeździł gdzieś na jarmark Berdyczowski i leżał w drodze dwa tygodnie, bo go wracając konie potłukły, zjawił się u mnie obwiązany, bo miał jeszcze na twarzy ślady ostatniego przypadku. Ogromny, barczysty, bakembardy czarne, wąż za ucho, ręce pod boki, mina zamaszysta. Zimno mi się trochę zrobiło, gdy mnie za rękę wzięwszy ścisnął ją w swojej łapie niedźwiedziej.

— A co to? słyszę JW. pan moje wioseczkę każał oddać w administrację?

— Ale bo pan nikomu nie płaci?

— Nie płacę! ale mam pignus responsionis, co u kata! nie płacę dziś, to zapłacę jutro...

— Tyle lat... zresztą, nie ja, ale prawo tu rozporządza.

— E! gadaj pan sobie zdrów panie marszałku... to robota Karpuńki! ja się na tem znam... krótko mówiąc, czy panu spokój niemiły?!

— Jakto? zawołałem, pan śmiesz grozić urzędnikowi?

— Co tam, urzędnikowi! dziś urzędnik, a jutro taki obywatel jak i ja, a może gorszy... Pan chce wojny ze mną?

— Ja do pana nic nie mam, tu idzie o wioskę nie o pana!

— Tere fere! pogadaj wyraźnie panie marszałku! zawołał Wałdaj, uwolnisz od administracji, czy nie?

-- Zapłać pan niedoimkę!

— Zapłać pan za mnie! ja to panu oddam jak będę miał... he? nie?!

Ruszyłem ramionami.

— Nie uwolnisz pan zpod administracji?

— Nie mogę.

— No! to bywajże zdrów, pisuj do mnie na Berdyczew i trzymaj się dobrze, bo ci takiéj kaszy narwę, że się nią udławisz!

To mówiąc, włożył czapkę na głowę, odwrócił się, drzwiami trzasnął i wyszedł. Złość mnie wielka chwyciła, ale i strach niemały, byłbym się zawrócił z lichem, tylko wstyd już się cofnąć. Ludzie patrzą... wioska poszła w administrację, a Wałdaj'a ani słychu.

Strachy na lachy, myślę sobie, nic z tego nie będzie... Tydzień, dwa, trzy, cztery... a tu i wybory się zbliżają, a do powiatowego miasteczka zwołują na rugi przedsejmikowe. Jużem był o Wałdaj'u zapomniiał zupełnie, gdy właśnie przy największém zgromadzeniu szlachty u mnie, gdzie powiat był całuteńki, Wałdaj wchodzi z miną buńczuczną.

— A co, panie sekretarzu, woła nie obracając się do mnie, i mnie tam położył na liście wotujących, choć wioskęście mi zabrali cha! cha! wylezie wam bokiem ta administracja!

To mówiąc chwycił pierwsze krzesło z brzegu siadł i rozparł się szeroko, dobył z kieszeni cygara, zapalił, spojrzał na mnie z ukosa i kiedy nie krzyknie na całą gębę.

— Filipek! szklanke wody!

Trzymałem się nogami i rękami krzesła, ale nie wiem co, jakaś siła djabelska rzuciła mną do góry, porwałem się i mimowoli z ust mi się wyrwało to przeklęte:

— Słucham jaśnie panie! które mnie lat tyle dusiło.

Powiat osłupiał, a z osłupienia wyszedł home-rycznym śmiechem; nic nie wiem co się potem sta-

ło, bom omdlał, zachorował, odzyskał trochę przytomności na łożu śmiertelnem i ocknął się dopiero na drugim świecie.

Tu już począłem się rachować z mojem sumieniem i nie zdało mi się żebym miał wielkie powody obawy, bo chociaż wiodło mi się dobrze i nażyłem się na świecie, ale ciężkich występków nie popełniłem, a myślałem że śmierć moja powinna była za wszystko zapłacić.

Ale nie było co gadać, marsz, marsz, musiałem iść do porachunku...

— Ha! myślę sobie... niech już tam drobne rzeczy wszystkie spisują... a wielkich tak dalece na sumieniu nie mam.

Postałem trochę, przychodzi kolej na mnie, kiedy ja patrzę, aż tu wszystko nawet z moich ekonomskich czasów registra in originali, wyciągają... A do licha! Aż mi się źle zrobiło! najdrobniejsze grzeszki, omyłki, nawet jedną kurę którąm był wziął u wdowy nie wiem za co, za czasów ekonomowania, i tę mi policzyli. A ta kura tak była urosła, że stała za dobrego wołu!

Tłumaczyć się nie dają! jak poczęli mi gatunkować: grzechy kuchty, potem grzechy lokaja, pisa-

rza, ekonoma, dziedzica, męża, ojca, urzędnika, jak się to poczęło sypać a sypać, dopierom się opatrzył że nie żart. Wszystko tam było! wszystko niestety! Kłamstwa jak suszone grzyby powiązane na wianki, chętki różne wielkie i małe choć niespełnione, uczynki i uczyneczki, cudze łzy których się nie wiem skąd pełen gąsior nazbierał: słowem na jednej szali aż przez wiérzch, na drugiej na dnie tylko odrobinka i to taka skromna, że ledwie ją było widać.

Swierzbiał mnie język rozmówić się, przekonywać, ale na mnie ani zważano, a jeden z duchów poradził mi, żebym sobie sprawy nie pogorszał, grzesząc po śmierci.

— Biedna duszyczko, rzekł, wiele ci przebaczone, bo na szali złożyliśmy wychowanie twoje i lata sieroce i głupotę. i pracę nawet choć bez celu uczciwszego, ale zawsze pracę... i każdy ułomek myśli dobrej, co ci przez głowę przeleciał... i każde serca drgnienie... Żałuj i ukorz się, a dusza twoja lżejszą się stanie, bo ją uczucie dumy ziemskiej i oporu pogrąża coraz głębiej w ciemności.... Wieki przed tobą na pokutę, poprawę, oczyszczenie...

Ot jak dostałem się do tego stolika z terminem nieokreślonym, dopóki w nim karuka nie stanie

całkiem, a póty póki choć odrobinka drzewa trzymać się będzie i ja w niej siedzieć muszę... To mnie tylko pociesza, że codzień rano i codzień wieczorem, błyska mi przed oczyma modlitwa żony, która przełatuje ciemności i zwiastuje mi, że tam o mnie na ziemi ktoś pamięta...

Filipek westchnął i umilkł.

— A to zabawna historia! rozśmiał się podkomorzy, dalipan zabawna! Ale gdzież! ktoby się to spodziewał. Filipek! prawda że to było roztropne, zwawe i szczęśliwe, aż do marszałkowstwa się posunął! Pamiętasz go podkomorzyno!

— Jakże nie! niczego był chłopak... tylko tłukł w kredensie niezmiernie... pamiętam, pamiętam, nos miał trochę za darty... No! proszę, ale czy on tylko nie kłamał?

— Mamo kochana, duchy kłamać nie mogą.

Podkomorzyna pokręciła głową z niedowierzaniem jakimś, ale przywykła ulegać synowi, umilkła...

Spowiedź ta zresztą prócz ruszań ramionami gospodarza które się kilkakroć powtórzyły, nie wywołała żadnych uwag więcej.

X.

Nie dając prawie czasu odetchnąć znużonym swoim pomocnikom, pan Henryk z Niekłaszewiczem, niezmordowani oba, wzięli się do wywoływania ostatniego ducha, który miał siedzieć w bronzie.

— To już ostatni? spytała podkomorzyna.

— Ostatni, odparł syn... i zdaje mi się że to być powinien ktoś bardzo dystyngowany... bo bronz... ale to się zaraz okaże... Cicho! i całą nań zwróćmy uwagę...

Sciśnięto palce, związano łańcuch, milczenie znowu, nawet podkomorzy z natężoną uwagą zbliżył się do stolika... Siedzą, siedzą... cicho i cicho.

Panna Celestyna trochę już zmęczona ośmieliła się odezwać, że w stoliku tym jednak niezmiernie różne mieściło się towarzystwo.

— Zawszem myślała, dodała naiwnie, że i na tamtym świecie ludzie jednej sfery powinny się ścisnąć w jedno grono...

— Celuniu! kochanie, ofuknął się brat, na później o tem rozmowa, a teraz natężmy siły nasze by wywołać ostatniego i upartego ducha; będziemy mieli czas rozprawiać, sądzić, sprzeczać się, gdy skończymy...

Znowu tedy zamilkli wszyscy, siedzą, ale stolik milczy jeszcze, podkomorzyna pierwsza niecierpliwie się zaczęła.

— A to coś upartego, zawołała żywo, tożby już mógł przemówić jak drudzy.

— Kochana mamó, milczmy, bo to przerywa działanie i przedłuża je... odezwał się Henryk.

Ja spojrzałem w téj chwili na Nieklaszewicza, którego fizjonomja pociągała mnie fantastycznością swoją; nie wiem czy skutkiem wypitego z herbatą rumu, czy zmęczenia, zdawał się drzemać choć oczy miał otwarte i słupem stojące: nikt prócz mnie nie uważał na stan jego, ale ten był nadzwyczajny. Ręce rozpostarte drgały konwulsyjnie, twarz była jak mur blada, usta sine, pot zimny wielkimi jak groch kroplami oblewał mu czoło, brwi miał ściągnięte, a u-

sta z jednej strony się śmiejąc, z drugiej przybierały wyraz jakiś złowrogi.

Wtem ze stolika nie mowa, nie śpiew, nie szmer, ale krzyk się dał słyszeć tak przeraźliwie bolesny, żeśmy wszyscy zadrżeli nań przerażeni. Jeden tylko nieustraszony pan Henryk, nielitościwy w swoim zapale, pospieszył z pytaniem zwykłym, które się dziwnie z jękiem ducha zmieszało.

— Kto jesteś ducha?

— Nieklaszewicz! Hieronim Nieklaszewicz! odpowiedział stolik.

Oslupieliśmy wszyscy, patrząc, Nieklaszewicz ani ust nie otworzył, głos wyraźnie wychodzi ze stołu; inni także podnoszą oczy na biednego rezydenta i sprawy sobie zdać nie umieją z tego co się dzieje. Nieklaszewicz ani się rusza i siedzi jak przykuty.

— Cóż ty tu robisz? opamiętawszy się, spytał pan Henryk.

— Zaczynam pokutę za życia, odparł głos bolesny i drżący, przykuty do stołu, jakem był losem przykuty do waszego domu, do fantazji, dziwactw i dumy waszój...

Podkomorzy aż krzyknął.

— Co to jest? owarjował!

— To coś niepojętego! przerwał Henryk, nie-
zmiernie zawsze zajęty experymentacją, ale jesteś-
my w kółku familijnem, a pan, dodał obracając się
do mnie, nie weźmie co do litery, jeśli ten szale-
niec z czem nie dorzeczy się odezwie... dajmy się i
jemu wypowiedzieć.

— Gotów gadać głupstwa... kłamstwa... zawołał
podkomorzy, ale caluteńkie życie milczał, skąd mu
się na to zebrało?

— Widzi papa, że duch jego wyraźnie opuścił
ciało i wszedł w stolik, siedzi jak jasnowidzący...

— A to go przebudzić!

— Ale niech mówi, odezwała się panna Cele-
styna... Ktoby myślał że o nas co złego powiedzić
może; niech się sobie spowiada! choć nie pojmuje
coby nam mógł odkryć ciekawego z historji ślima-
czego swego życia....

— Mów duchu, mów... kto jesteś! pospieszył
Henryk... i co cię tu zagnało?

— Jestem duchem nieszczęśliwego Nieklaszewi-
cza, którego ciało siedzi przed wami... rozpoczyn-
ającym pokutę zawczasie, bo Bóg się nad nim ulito-
wał. O! biedne bo też było życie moje dla duszy co
w ciele mojem mieszkała... nad wyraz utrapione i

biedne! Jeden tylko grzech wielki miałem na sumieniu, lenistwo, i ten mnie spętał i przykuł na wieki do wrót waszych jak psa na łańcuchu... Wiecie? nie, nie wiecie jeszcze com ucierpiał z wami; żeby nie pracować, nie walczyć, żeby się z życiem nie łamać, wolałem upokorzenie i nędzę niż swobodę, i napić się jęj musiałem do syta! Rodzice zostawili mi trochę grosza, Bóg dał zdrowie i siłę, traf chciał bym kapitalik mój, mienie całe, umieścił u podkomorzego na procencie, i to mnie zgubiło...

-- A to warjat, zaprotestował podkomorzy, samże mnie o to prosił...

-- Często nie było czem opłacić procentu i zbywano mnie szyderskiem pytaniem: — Na co ci pieniądze potrzebne? przez lat dwadzieścia kilka nie miałem nawet nadziei zobaczenia się z kapitałem; przyjąłem więc strawę, chatę, liberję dworaka, obowiązki rezydenta, miejsce u stołu i u drzwi, kwaśne wino i kwaśniejsze miny wasze, któremiście mnie poili i karmili.

— Ale to warjat! zawołała z kolei panna Celestyna.

— Wam nigdy pewnie na myśl nie przyszło żeście mieli przed sobą równego sobie człowieka, nie

małpę, nie papugę, nie szpica. Czem ja byłem dla was? ścierką do wycierania złego humoru, rynsztokiem przez który swobodnie wylewała się zółć wasza, bezbronnem stworzeniem nad którem pastwił się kto chciał, starzy, dzieci, słudzy... i pośmiewiskiem, urągowiskiem, popychadłem... A nikt z was ani się domyślał co w mój duszy zbierało się na dzień! I podłym byłem do tego stopnia przez lenistwo, że od was nie uciekłem, że nie plunąłem wam w oczy i nie urwał się z tej uwięzi. Ot tak! przywykło głupie ciało do waszego stołu pańskiego okruchów, oczy do waszych wymuskanych twarzączek, usta do waszego jadła, a dusza do wewnętrznego potajemnego z was szyderstwa i nowego trybu życia już się próbować nie chciało! Mogłem próżnować i tem mi się jednym wynagradzało wszystko com cierpiało; — miałem prawo spać, ziewać, nic nie robić i cztery razy najmniej do roku pod pozorem choroby, kazać sobie nosić jedzenie do oficynki...

Śliczne, zaprawdę śliczne życie!... jak zajrzeć step bez końca!... żywej duszy coby się uśmiechnęła, ulitowała, przywiązała i los swój społa z moim, choćby przolotnym współczuciem. Czy które z was, powiedzcie, dało mi kiedy dobre słowo, uśmiech i jałmużnę choćby chwili litości?

Podkomorzy tylko siadając do stołu, i potrzebując dwojga uszu któreby jego konceptów przy przystępem słuchały, przypominał sobie że Nieklaszewicz żyje, ale posyłając po niego, nigdy inaczéj się nie wyraził, jak, pójdź zawołaj tego starego durnia! A stary głupiec... stary głupiec... słuchał tego od służalca i szedł posłuszny, choć dalej i czysćiej widział od was wszystkich, co was czekało! Wy z waszym rozumem zajechaliście tam, gdzie on już wprzódy myślą zajął dla was kwatery... podkomorzyna....

— Gotów i na mnie jeszcze co powiedzieć! krzyknęła pani... a! to impertynent jakiś.

— Podkomorzyna choć kobieta, nie kładła mnie wyżéj nad pieski swoje, dodał duch. Kawalek sztukamięsy w postaci którój odjadalem procenta moje, często zabierała Filutka, choć mi się z głodu na płacz, a ze złości na furję zbierało. Z Nieklaszewiczem wszystko było wolno, jakby się nie liczył do ludzi.

W oczach pana Henryka, panny Celestyny wątpię bym się liczył za człowieka, bo po francuzku niby nie mówię, a dla nich obojga, ludzie się różnią od zwierząt umięjetnością francuzkiego języka... Wiele to razy pan Henryk siwym włosom moim ka-

zał sobie postugiwać, a panna Celestyna w dniach złego humoru znęcała się nademną, nie mając już na kogo wyrzucić skutków swojego spleenu... Przeklęte lenistwo jednak nie dało mi się wyzwolić i wiek przeszedł i siły uciekły, i życie się zmarnowało, na pozornej uległości, a wewnętrznem szyderstwie, bom dalej, lepiej i jaśniej widział od was wszystkich coście się mieli za rozumniejszych stokroć nademnie.

Teraz jam niewolnik któremu gdyby skruszono więzy, wróciłby do swój jamy i barłogu. Przy was niewolno mi było mieć myśli, zdania, sądu, ruchu, uśmiechu i uczucia, ale jak za to mściłem się w głębi duszy! Jadłem, potakiwałem, kłaniałem się, służyłem, milczałem; alem szydził krwawo ze ślepoty waszój, która w sparalizowanych ustach moich nigdy nie dost rzęgała ukrytego nieprzyjaciela czyhającego na zemstę... Nieraz chciałem już zebrać się na odwagę, zerwać więzy, otrząść się z niewoli, wziąć kij i pójść w świat... ale trzymało mnie lenistwo, i sama nienawiść potrzebująca pokarmu... dwa grzechy za które Bóg mnie ukarze.

Z początku zdało mi się tak dogodnie, zaszczytnie, słodko wisieć przy Jaśnie Wielmożnych, być przy-

puszczonym do tajemnic ich rozmowy, stołu, strawności i ziewania, do spółki ich wzniosłych myśli i uczuć... ale gdym się przypatrzył wam zbliższy, jakżem codziennie waszą nędzą moralną był upokorzony!... Trzymało mnie to i trzymam przyrosł do wad i zepsucia waszego jak robak do zgnilizny... wreszcie zgnuśniałem tak w barłogu że nie pojmowałem jak się obejść można bez wygódek, bez próżnowania, bez spoczynku i tej karmi szyderstwa, którą wy jesteście... Zrobiliście ze mną co chcieli: odarli, zabili, spętali, alem wam to oddał w duszy z nawiązką!...

— Ale co on plecie! co plecie! zawrzał czerwieniąc się podkomorzy, sumkę swoją wybrał z naddatkiem, nic mu się nie należy, żył z naszej łaski...

— Niewdzięczność zwykłą jest zapłatą za dobrodziejstwa... dodała panna Celestyna drżąc całą... a! to zmija którąśmy odgrzewali na piersiach naszych... milczał duszę mając pełną nienawiści...

— A mógłżem się odezwać? zapytał duch Nieklaszewicza, dalizeście mi prawo otworzenia ust inaczej jak potakiwaniem, każdego słowa nie braliście za igraszkę? Kto z was choć raz w życiu obdarzył mnie współczuciem kąskiem?... W chorobie zajrzał

z was kto do mnie, w strapieniu spytał kto o boleść moję, w niedostatku pomógł kto inaczej jak wzgardliwą żebraczą jałmużną?!

To mówiąc głos ustawał; cały przejęty tą sceną która widocznie podziałała i na familję podkomorze-
go, spojrzałem w téj chwili na biednego Nieklasze-
wicza... Oczy jego ruszyły się, twarz poczęła przy-
bierać wyraz zwykły, zadrżał i westchnął, jakby ze
snu ciężkiego się budził... Równocześnie stolik od-
zywać się przestał. Przytomni z oburzeniem poglą-
dali na rezydenta, który zdawał się nie mieć pojęcia
o tem co się stało i powodów zamieszania szukał
w nas niespokojnym wzrokiem...

Pan Henryk nawet zawahał się co dalej robić wy-
padało, i wszyscy się ruszali jakby wstać chcieli od
nieszczęsnego stolika, gdy Nieklaszewicz z uśmie-
chem pełnym pokory spytał...

— Nie chce mówić?

— Owszem, mówił aż nadto... rzekł pan Hen-
ryk...

— Mówił? doprawdy! mówił? zapytał rezydent
niespokojny... to być nie może...

— A gdzieś waćpan był? odezwał się podko-
morzy...

— Nie wiem, tak mi się słabo zrobiło..... rzekł Niekłaszewicz... ale jeżeli mówił, toby mówić powinien dłużej, pewnie nie skończył jeszcze...

Nim łańcuch się rozerwał i przytomni opamiętali, po chwilce westchnienie dało się słyszeć z brzękiem brązu...

— A! duch mówić będzie! pospieszył pan Henryk, niech kończy jak zaczął. zobaczymy co to było... i poważnym głosem, dørzucił:

— Kto jesteś duchu?

— Niechże przyjdę do siebie, odparł głoszek piśkliwy, nie dosyć siedzieć w kawałku kruszcu zimnym, ciasnym i podziurawionym, jeszcze i tu spokojnym być nie można. Przed chwilą ktoś mi się tu wcisnął na kwaterę i mało mnie nie udusił... Ledwie się pozbył nieproszonego gościa! Dosyć jestem znużony na pokucie, ale nigdy przykrzejszego uczucia nie doznałem jak dotknięcie tego ducha... z jednej strony zimny jak głaz, z drugiej płonący nienawiścią jak piekło... I kto mu pozwolił wcisnąć się do mnie? co za zuchwałstwo!

Patrzałem na Niekłaszewicza, on jeden zdawał się nie rozumiéć wcale o co chodziło...

Duch odetchnął i mówił dalej.

— Jestem Paweł...

— A to coś nowego! zawołał podkomorzy, znowu figura inna... zkadże to Pan Bóg prowadzi...

— Z drugiego świata... z ciemności pokuty... z przepaści oczyszczenia... Za życia byłem wielbicielem kruszcu i po śmierci skazano mnie na mieszkanie z kolei we wszystkich znajomych metalach. — Przebyłem już platynę z którą razem smażyłem się w tyglu Berzeljusa; przebyłem złoto z którego kawałkiem odbyłem najdziwniejsze podróże, od kopalni Kalifornijskich do Europy, ze sztaby na monetę, z monety na kolczyk zalotnicy się przenosząc; byłem i w srebrnym rądelku i w talarze... a teraz odpoczywam w bronzie; pozostaje mi jeszcze! a! wiele, wiele, bo muszę wypić do dna wszystko aż do glinu... Trzeba przyznać, że metal jest bardzo chłodnym dla duszy mieszkaniem...

— Ale za cóż taka pokuta? spytał pan Henryk...

— Łatwo się domyślicie, za to żem grosz kochał nadewszystko i sprzedał zań życie...

— Musiał być bogaty człowiek, rzekł podkomorzy, a ze swego dzisiejszego stanowiska, mógłby nam może co powiedzieć o skarbach jakich, czy ich

tu gdzie zakopanych nie mamy, spytajno go Henryku, a grzecznie?

Duch nie czekał pytania i mówił dalej nie przerywając:

Całe życie pędzałem się za pieniędzmi i byłem goły, przedawałem się nieskończoną liczbę razy na próżno... grosz uciekał odemnie, a jeszcze tak ciężką za samo jego pragnienie naznaczono mi pokutę! Wszystko com chciał pozyskać a czegom nie miał, poszło na szalę sprawiedliwości świadczyć przeciwko mnie... i zebrały się miliony... A! gdyby nie doła co mnie prześladowała, byłbym je miał! byłbym je zgromadził, ale wypadki zawsze się przeciwko mnie spikały. Namietność ta chwyciła mnie za młodu i nie pamiętam kiedy rozwinęła się we mnie; studentom pożyczałem groszaki na procenta, skupowałem u potrzebnych graty które z zyskiem sprzedawałem, ale ledwie się woreczek wypełnił, ktoś skradł, ginęło, przepadało...

Starszy trochę począłem handlować końmi, ale mi nosowały i parszywiały wszystkie, ujmowałem ustom, męczyłem ciało niedostatkiem, próżność moją składałem w ofierze złotemu cielcowi, i na nic się to nie zdało... Nareszcie poświęciłem serce, sprze-

dałem się żeniąc z kobietą, której grzechy młodości pocziwem imieniem mojem pokryłem; wyrachowałem ile mi to przynieść powinno, i na tej zawiodłem się rachubie. Została mi żona, ale majątek jój znikł w chwili gdym do niego wyciągał ręce... Ze zgryzoty o mało nie umarłem; grzech jeden ciągnie drugi za sobą, mściłem się na nieszczęśliwej i na sobie za głupstwo popelnione...

Zycie moje było pasmem pragnienia nienasyconego, ofiar nieustannych a próżnych... a namiętność szalona dochodziła do obłąkania. Odejmowałem od ust sobie, żonie, ludziom, chwytalem nie patrząc cudze czy swoje, a wśród tego w sumieniu czułem ciągle, zem był na złej drodze.

Jak w wielu innych i we mnie było dwóch ludzi: jeden co szedł kędy go niosło zepsute serce, drugi co patrzył, szydził, sądził i czuł złe, nie mogąc mu zapobiedz.

Za każdą czynnością obrachowywałem jój znaczenie i skutki, a jutro ciągnąłem ją dalej, kierując się popędem, nie rozumem. Tadwoistość męczyła mnie więcej może niż doznane zawody i straty; widziałem jasno zem się brukał, a kładłem ręce w błoto jakby jakąś fatalnością wiedziony. W początkach był to

jeszcze rodzaj boju, z nadzieją że sumienie zwycięży, później rozbrat zupełny wzięli ci dwaj siedzący we mnie ludzie; jeden robił co mu się zamarzyło, drugi mu skutki tłumaczył, ale już wcale nie wpływali na siebie.

Napróżno wypowiadałem sobie marność zbiorów ludzkich, znikomość grosza, mierzyłem ofiary otrzymanemi z nich skutki, przebiegałem życie spędzone w głupich zabiegach; wszystko to jasno i dobitnie wyrzuciwszy sobie na oczy, nazajutrz wstawałem błędzić na nowo.

Jeden z tych ludzi nieustannie szydził we mnie z drugiego; nienawidzili się zadając sobie głupstwa wzajemnie i żyć z sobą musieli. A rośli tak oba do końca, że gdy pierwszy nabierał sił do błędu, drugi je pozyskiwał do jasnego widzenia prawdy...

Życie w ten sposób składało się z dwóch równoległych linii niespojonych z sobą, które się nigdy zejść nie mogły; z dwóch prądów biegnących w strony przeciwne.

Z tem jasnowidzeniem prawdy byłem podwójnie nieszczęśliwy; bo zabiegi moje o majątek nie wiodły się, spodlałem się i spadałem coraz niżej, a upodlenie moje mocniej może czuć umiałem niż ci co na mnie patrzali z daleka.

Zawiedziony na ożenieniu, które zwichnęło mi życie, musiałem jeszcze walczyć z kobietą której czoło nosiło plamę niestartą, serce było na wieki zepsute, a namiętności wzburzone jak morskie otchłanie.

Dnie schodziły piotunem zaprawne, na kłótni próżnej, na sporach w których końcu zawszem winnym być musiał, na daremnej straży niewiasty, której nie upilnować nie mogło, bo aniola wstydu przy niej nie było.

Zamykała mi usta zawsze, pytaniem: Na co mnie wzięłeś? a krew oblewała mi czoło choć dawno wytarte; ale czułem jeszcze na wspomnienie hańby, którą znosić musiałem. Nareszcie przyszła chwila wyzwolenia, śmierć jej oswobodziła mnie od wojny domowej, ale na progu domu pozostało piętno przeszłości. Zamknąłem się sam sknerzyć, zbierać, spekulować... niekiedy powodzić mi się zdawało, już, już myślałem że początek fortuny zakładam, gdy nagle jedna z tych nieprzewidzianych okoliczności których człek nigdy nie widzi naprzód, wywracała com z taką zbudował pracą... gmach runął, a jam musiał rozpoczynać go na nowo.

Do jakiegoś czasu resztkami tych strat dźwigając

się, zbierałem jeszcze, lub zdało mi się że pomnażał mienie, ale pod starość przechyliła się szala i z dnia na dzień ubożałem coraz bardziej, coraz zapamiętałem stając się skąpcem, i codziennie schodząc niżej aż do torby, kija, lepianki, aż do szynku we wsi którą myślałem był kupić przed laty.

Sumienie wskazywało mi jasno, że mienie jest jak wszelki inny dar Boży, nie rozumu ludzkiego i zabiegów owocem, nie produktem przemysłu, ale prostym darem Opatrzności; upierałem się wszakże przeciwko woli widocznej, z coraz zajadlejszą wściekłością. Widziałem na świecie tych co zbierali najskrzętniej, skąpili najdziwniej, a do niczego nigdy dojść nie mogli, choć ani rozumu im brakło, ani ich rachuby myliły; widziałem innych, którzy szli omackiem, modlili się i znajdowali pod poduszką to, co Bóg im dać chciał; a nie nauczyłem się ani rezygnacji, ani modlitwy...

Ze złota którym zbierałem daremnie, zszedłem na srebro, ze srebra na miedziaki, i na szynku jeszcze gdzie osiąść musiałem, chwytając grosze do kufra, sądząc że niemi coś odrobuję... Pojechałem do miasteczka, a żydzi okradli karcznię, i tak skończyły się zbiory moje i męczarnie... W pierwszym uniesie-

niu żalu, chwyciłem pas, zarzuciłem go na bant i obwiesiłem się na nim.

— Historja pana Nieklaszewicza i historja wi-sielca, odezwał się podkomorzy z uśmiechem sarkastycznym, do pary.

— Jakto historja moja? zapytał naiwnie rezydent...

Spojrzeli na niego płomienistemi oczyma wszyscy, ale nikt nie ośmielił się wybuchnąć, znać było tylko na każdej twarzy inaczej wyrażające się uczucia gniewu, niechęci, żalu, oburzenia.

— Potem o tem, przerwał pan Henryk, korzystajmy póki pora... potrzeba się spytać duchów stolika... o przyszłość...

Choć obcy, widząc że się na jedną z najniedorzeczniejszych robót zanosi, ośmieliłem się otworzyć usta, dodam jednak, że po ludzku, nimem się na tę zdobył odwagę, obejrzałem się wprzód czy burza przeszła i czy w przypadku złego mojej rady przyjęcia, mogłem jechać dalej... Szczyściem niebo się rozjaśniało coraz, a wieczór obiecywał być pogodnym; zebrawszy się więc na cywilne męstwo wyrzeczenia prawdy; rzekłem z uśmiechem.

— Po zwolicie mi państwo przerwać na chwilę zajęcie?

Pan Henryk dosyć niechętnie głowę odwrócił.

— Po co mamy w przyszłość zaglądać? Nie jest li to prawdziwie opatrzniem zrządzeniem właśnie że jej przed nami niewidać? Któż zyszcze na jasnowidzeniu jutra? Życiu odejmie to wszelkie zajęcie, siły, nadzieje... Co do mnie, gdyby mi chciano wróżyć, gdybym mógł zajrzeć za zasłonę tajemnic nierad bym jej nigdy podnosić. Zyskał kto na proroctwie przyszłości? Każdego ono napełnia strachem, drżeniem i łzami, bo na dnie każdego żywota musi być zaród nieszczęścia jak jest zaród grzechu! Poco spieszyć z pożarciem tego co nam przeznaczone, gdy życie i tak jest krótkie!

— Ależ panie dobrodzieju, przerwał Nieklaszewicz... co to panu szkodzi, że drudzy się poradzą?... właśnie można się pokierować.

— Jestli nieunikniona przyszłość której się dowiedzieć chcecie? cóż na nią poradzicie, odpowiedziałem, a jeśli uniknąć jej można, cóż to za wieszczba? jaka prawda?

— Ale zawsze dobrzeby... a to rzecz tak ciekawa, mruknęła panna Celestyna widocznie z moich argumentacji nie rada, zresztą co to panu szkodzi?

-- A co to państwu pomoże?

— My w to nie wierzym, to tylko igraszka!

— Igraszka! z czem? z losem? z przys złością, z wielkim nieznanym??

— Panu się to niepodoba, rozciął zwycięzko pan Henryk, nic nie mamy przeciwko temu, nam się podoba, cóż na to poradzić? ustąpmy sobie wzajemnie.

Skłoniłem się i zamilkłem; a pan Henryk pierwszy, najwięcej mając nadziei przed sobą, zapytał stołu...

— Powiedz mi, co mnie czeka?

Milczenie trwało dość długo.

— Daj mi waćpan pokój, odpowiedział duch pierwszy: co mnie to obchodzi, co waści czekać może, żebym tam dla niego po ciemnościach płądrował?

— To ktoś niegrzeczny, przerwała panna Celestyna, jesteście ich siedmiu, dopytasz się u któregośkolwiek innego... poursuivez.

Pan Henryk powtórzył pytanie, a ktoś grzeczniejszy rzekł ze stolika.

— Chcesz wiedzieć przyszłość, zajrzyj w przeszłość swoją, są to dwa liście jednej łądygi, jak liście podobne do siebie.. Nic innego wyrosnąć nie może

na roślinie prócz jej własnego liścia i kwiatu... czasem go robak stoczy i wykrzywi, czasem go burza załamie, lecz rozwiń, a w środku znajdziesz zawsze to co z niej wystrzelić musiało... Spójrzij więc na przeszłość swoje: Próżność, duma, chętką błyszczenia wszystkim co tylko połykiwać może, ot co znajdziesz w niej, a to samo z owocem leży w przyszłości twojej; jeszcze więcej próżności i śmieszności którą ona ściąga niechybnie, jeszcze więcej dumy i upokorzenia, i żądy błyszczenia której wkrótce nie będzie czem świecić, bo oleju nie dolewasz do lampy....

— Mów mi czy się bogato ożenię, dosyć rozgniewany przerwał nagle pan Henryk obejrzawszy się czy ja słucham—czy się ożenię bogato...

— Ożenisz się bardzo bogato, odpowiedział stolik... tak bogato, że ci ludzie będą zazdrościć, ale ty... będziesz przeklinać...

— Byle bogato! wykrzyknął wesoło pan Henryk, czego mi nie stanie, to sobie dokupię.

— Czy wszystko się u was sprzedaje? spytał duch.

— Mniej więcej, wesoło rzekł pan Henryk, piękność, dowcip, zdrowie, rozum, wygody, swoboda... poszanowanie.

— Tak! prócz szczęścia! smutnie wyjąknął stolik, tego jednego kupić nie można, zrobić go sobie potrzeba samemu.

— To potrafię...

— Nie! nie! nie! trzy razy dał się głos słyszeć, zrobisz sobie bałwana którego mieć będziesz za bóstwo jak poganie czcili kłoce i kamienie, ale to nie będzie szczęście! Skruszysz jedno, zrobisz drugie i trzecie... a wszystkie będą zimnemi bałwanami, a żadnego nie potrafisz uznać szczęściem swoim któregoś marzył.

— Byle bym był bogaty! rozśmiał się pytający no! a żonę będę miał piękną?

— Cudnie piękną przez pół roku, śliczną jeszcze przez rok cały, wcale ładną dwa lata, nieszpeta do trzeciego, w czwartym pospolitą i nieznośną...

— Spytałeś bo się jakiegoś takiego ducha, zawołała panna Celestyna, który ci Bóg wie co plecie i mistyfikuje wyraźnie: à d'autres.

— Mnie się to podoba! oryginalny! il a un faux air d'oracle de Delphes, rzekł pan Henryk... Cóż więcej mój duchu?

— Umrzesz jak żyłeś drapując się w prześciera-dło na łożu śmiertelnem: myśląc nie o Bogu, ale o

tem co masz konając powiedzieć, aby zrobić efekt na słuchaczach...

— Brutal! szepnął podkomorzy oburzony, dosyć że już tego Henryku...

— No! a papa, a mama?

— Ja, rzekł spiesznie podkomorzy, spytaj o demnie o skarby?

Znów dosyć długo czekano na odpowiedź.

— Czy są skarby w zamczysku starem w Berbeciach? poddał nie spokojny podkomorzy zacierając czuprynę.

— Są, odpowie dział głos wyraźnie.

— A co? nie mówię, zawołał stary podskoczywszy, są... teraz, cicho! Gdzie?

— Na prawym rogu...

— Tam stoi kaplica?

— Tak jest.

— Gdzież są?

— W kaplicy...

— Jakimże sposobem? to część zamku nowa?

Głos zamilkł.

— Trzeba kopać?

— Nie! trzeba się modlić.

Podkomorzy jakoś tego dobrze nie zrozumiał.

— No i cóż? spytał.

— I będą skarby...

— A poszę choć do Tarnorudy! krzyknął stary... do Częstochowy... A wiele tam jest? co tam jest? mówił żywo... jakie skarby?

— Skarby nieprzeliczone!

— Złoto czy brylanty?

— Coś lepszego od brylantów i złota...

— Emigmatyczny, rzekł podkomorzy, ale cóż przecie?

— Skarby... odparł głos.

— To jasno! są skarby, jutro wywracam kaplicę i kopię... Ale jeszcze no jaśniej, niech nam powie, gdzie? jak? w rogu? w środku?

Głos zamilkł i milczał uparcie; ani go już wywołać było można.

— Spytamy drugą razą, przerwała podkomorzyna, pozwólcieź mnie się zapytać, tylem się namęczyła...

— Zaraz, zaraz, chwilę jeszcze, rzekł mąż. Czy te skarby wykopiemy?

Henryk jako medium i przewodnik powtórzył pytanie, ale krótki śmiech suchy odpowiedział, a po nim tylko:

— To od was zależy. Kopcie a wykopiecie, szu-

kajcie a znajdziecie, kołaczcie a będzie wam otworo-
rzono...

Podkomorzy zatarł ręce wesoło, znać było po nim że wielką miał ochotę jeszcze się o coś pytać więcej, ale mu przeszkadzała (przytomność i swoich i obcego człowieka; łamał sobie głowę jak pytanie obrócić żeby ono tylko dla niego i dla ducha zrozumiałą dało odpowiedź; nareszcie przysunął się do stolika.

— Duchu, zapytał niesmiało, jak się to skończy o czem myślę?...

— Dosyć śmiesznie, odparł zagadniony...

— Nie tragicznie!

— W życiu twojem nie było i nie będzie tragedji, osnułeś jego przędzę na farsę Shakspearowską, i los ci dotka do końca coś mu naznaczył...

— Każde życie jest farsą! zawolał podkomorzy trochę zmiészany, usiłując sens odpowiedzi odmienić.

— Tak, każde życie jak twoje... odparł duch....
Na śmiech byłś obywatelem, synem, mężem i ojcem... bawiłeś się urzędem, dziećmi, żoną, póki była młoda, bawisz się...

— Ale niechże nie plecie!

— Cicho! cicho! poczęli wszyscy.

— Ale to okropności!...

Wrzawa którą usiłowano zagłuszyć głos ducha, na nic się nie przydała, podkomo rzy tupał nogami, żona kaszłała, dzieci szamotały, ale głos wyroczeni podnosił się coraz wyraźniejszy i dobitniejszy.

— Bawisz się dziś w miłostki, w kartki, w gawędkę i zbierasz smutne owoce próżniaczego życia, których gorycz oparzonemu podniebieniu twojemu czuć się nie daje... Jakiegoż chcesz końca życia?— Będziesz się bawił do śmierci z tą lub drugą... i umrzesz niepoprawiony...

Trudno wyrazić jakie powstało zamieszanie wśród tych słów ducha, sama pani porwała się od stołu, panna Celestyna schroniła się do drugiego pokoju, ja przyznam że nie wiedząc co począć usunął się do progu, pan Henryk nawet wstał z krzesła. Jeden Nicklaszewicz siedział jak wryty, jakby nie widział i nie słyszał co się koło niego działo, z rękami rozpostartymi, ze skrzywionymi ustami, ogłuchły, oślepy, zdrętwiony...

A głos coraz silniejszy brzmiał od opuszczonego już stolika...

— Chcieliście wiedzieć przyszłość waszą. to jęj

słuchajcie! Zgniliście wszyscy do serca i mózgu, i żyć musicie zepsuciem waszem. Ty stary domęczysz się szukając rokoszy gdzie jój dla ciebie już nie ma... ty druga... coś lat tyle roślinnym bytem wytrwała nie potrzebując innego, jak chwast pod płotem dorosisz do jesieni i szronu... ty trzecia coś nigdy nie miała serca nawet w dzieciństwie i młodości, bo ci je wcześniej wyjęto, musisz głową, wyobraźnią i zmysłami zaspokoić pragnienie złamanój exystencji. Kochać nie umiesz Celestyno, i nie będziesz umiała, nikt cię téż nie pokocha, bo tylko miłość płaci się miłością... Pożąda cię nie jeden, zapragnie, weźmie nawet, ale tego uczucia które smak i woń daje życiu człowieka, nie doznasz nigdy. Wypłaczesz za niem wszystkie łzy swoje, wywzdychasz piersi dziewicze, i nigdy! nigdy! nie zaświta ci ta jutrzienka... boś na wieki wydziedziczona!

Głos ducha wstrzymał się na chwilę, i zdawało się że wyrocznia już nie pociągnie się dalej, ale po krótkim przestanku znowu podniósł się szept cichszy od nóg stołu.

— A ty? przybylcze i gościu, nie chcesz wiedzieć swój przyszłości?

Tak byłem zdumiony z razu niespodziewaną in-

terpelacją, że nie wiedział co odpowiedzieć, ale po rozmyśle krótkim, odezwałem się że przyszłość moją złożyłem w ręce Boga i tajemnic odkrycia nie pragnę.

— Powiem ci wszakże, czego wiedzieć nie chcesz rzekł duch ze stołu — dlaczego byś cierpieć nie miał jak wszyscy! Wiesz co cię czeka? Miałeś chwilę urojonego powodzenia, potrzeba byś za nie wypił wiele jeszcze usty twemi nietkniętych gorzyczy! Będziesz pracował w pocie czoła na pośmiewisko u ludzi, będziesz im dawał życie swoje i krew swoją, aby z nich wyciskali żółć którą cię poić mają; zabraknie ci przyjaciół, to mało, nieprzyjaciół ci nawet zabraknie, otoczy cię cisza głucha zapomnienia i śmierci jeszcze za życia. Będziesz widział tych co suknię twoją rozdarli, z szmat jej uszyli sobie dostatnie okrycie, podniesionych i wieńczonych; myśli twoje podawane za cudze i przyswajane na własność, pracę twoją zamurowaną obojętnością; — wreszcie nieprzyjaciół poklaskujących upadkowi twemu z rozkoszą. Wszystko coś zrobił kiedy, wniwecz obróć i oplwają, lub odrzucą i zapomną; będziesz żył pogrzebiony, martwy, zapomniany, przywalony ciężarem ksiąg twoich, które na grzbiecie twym powoli bu-

twiec będą... Nowy świat rozrośnie się wkoło ciebie, pewien że cię już niema, a gdy spróbujesz odezwać się do niego, okrzyczy cię za upiora... To twój los i innych wielu... to los wszelkiego słowa, które ma chwilę jedną i w grób jak wszystko ludzkie pójść musi. Może na niem dźwignie się z nasienia nowa prawda i nowa jasność jaka, ale nim drzewo wyrośnie, nasionko zgnieć musi...

Ze spuszczoną głową słuchałem w pokorze wyroczni, która prawdę rzekłszy nową dla mnie nie była... ciche Amen wyrwało się tylko z ust moich!.. Myślałem że już przecie utrapiona ta gawęda skończy się na mnie, ale nie, głos mówił dalej.

— No! a trzebaż jeszcze verba veritatis powiedzieć i staremu Nieklaszewiczowi, co jak bałwan się dzi sam za stolikiem... Posłuchaj stary! Chcesz wiedzieć przyszłość.

— I owszem, i owszem, odparł drżącym głosem Nieklaszewicz...

— Jutro cię z Monplaisir wypędzą, nie oddawszy kapitaliku... pójdziesz o żebranie dożywać dni twoich... Dobrze ci tak dudku! dobrze! A potrzeba ci było wdawać się z panami dlatego, że u nich sztukamięsa smaczniejsza i sos na buljonie! Dobrze

ci tak! było rolę uprawiać, było pracować, nie było dworaczyć.

Zdaje mi się że tej części opowiedzi nikt nie słuchał, zamęt był wielki, gdyż prorocтва wywołane przez pana Henryka i spowiedź ducha Nieklaszewicza, oburzyły całą rodzinę. Nie wiem co by tam było, gdybym ja obcy nie stanął na przeszkodzie szczeremu wynurzeniu się podkomorzego... Szeptano, przechadzano się, czyniono sobie wymówki, ale moja przytomność krępowała im usta, nareszcie postrzegłem że byłem zanadto, i po bardzo krótkiem pożegnaniu choć wieczór był późny, a księżyc po północy dopiero wschodził, niewstrzymywany nawet dla ceremonji, wysliznąłem się do sieni; wrzawę ogromną słysząc zaraz za sobą wybuchającą z pokoju.

Ogromny hajduk który był tak greczny, że mi płaszcz podawał, uśmiechał się szydersko.

— Panowie się na bawili, rzekł przyjmując małeńki odemnie podarunek, z tym stołem... i gotowi myśleć że doprawdy stół gadał.,. Ha! ha! a to ten niedara Nieklaszewicz, to on tak jakoś skroś brzuch gada, czy co, on już tu nieraz nastraszył dobrze kuchcików i dziewczęta w praczkarni...

Spojrzałem na st użającego, który się uśmiechał ciągle

— Toć panowieby wiedzieli o tem, odpowiedziałem.

— A! panowie nasi... oni proszę pana o niczem nie wiedzą... a ten Nieklaszewicz...

Nie chcąc plotek słuchać, rzuciłem się do powozu i konie ruszyły na drogę, z której musiałem do Monplaisir się zawrócić...

Wieczór był jak zwykle po burzy: chłodny, wilgotny, pełen wonności unoszących się w powietrzu, tęskny, i śliczny w swój szarą szacie od zachodu złocistemi poobszyszaną pasami... Wioska odzywała się swych głosów w tysiącem zmieszanych w jeden chór wielki, w powietrzną pieśń stworzenia.

— A! zawołałem z głębi duszy pojąc się tym widokiem spokoju, ciszy i wypoczynku, — czemuż ludzie zamiast głosu nóg stołowych nie słuchają tej pieśni ziemi, która się o ich uszy objaja, tych dźwięków wielkiej całości, od której ich odrywa zepsucie i samolubstwo, czemu nie starają się zrozumieć co do nich mówią drzewa kwitnące, biegnące wody, szumiące wiatry, malowane niebiosa i ptastwo powietrzne i zwierz leśny? Czemu nie usiłują przypomnieć sobie znajomego języka, którym mówili u wrót rajów z całą naturą? czemu nie słuchają głosu aniołów

stróżów i duchów dobrych co ich otaczają? czemu...
czemu????

Pytałem długo... a za całą odpowiedź wiatr mi
szumiał na równinie i w dali gdzieś zakrakęło zło-
wrogo przelatujące kruków stado.

PRZYPISEK.

W tym roku przejeżdżając przez miasteczko N...
niedaleko Monplaisir i Berbeciów, niezmiernie się
zadziwił spotkawszy na ulicy o kiju idącą postać nie-
zmiernie do kogoś widzianego niedawno, ale które-
go nazwiska przypomnieć sobie nie mogłem, podob-
ną. — Wpatruję się... łamię głowę, ów przecho-
dzień wita mnie ukłonem, i poznaje nareszcie Nie-
klaszewicza.

Zatrzymałem się, a że groblą długą jechać mi trze-
ba było do promu, wysiadłem by ze starym pogadać.

— Jak się pan masz? co tu robisz? zacząłem zra-
zu; co porabiają w Monplaisir i Berbeciach?

— Co oni tam robią, nie wiem doprawdy, a ja
w miasteczku sobie zamieszkałem... odpowiedział mi
chłodno

— Jaki? rozstałeś się pan z podkomorzym?

— Przecież mi to owego pamiętnego wieczora wyprorokowano! rzekł z uśmiechem.

— I wszystko się tak ziściło?

— Nie wiem, po chwili namysłu odpowiedział stary, a naprzód to skłamał stolik, że mi kapitaliku nie zapłacą, bom go przecie odebrał. Choć procentów zaległych ustąpiłem na chwałę Bożą.

— A! i cóż pan robisz teraz?

— Nająłem domek w miasteczku i żyję powoli...

— A u podkomorzego nie bywasz?...

— Nie! krótko odparł Nieklaszewicz, jakoś rozstaliśmy się zimno... najedliśmy się siebie do syta...

— Przecież wiedzieć pan musisz co porabia podkomorzy?

— A cóż! uśmiechnął się jedną ust stroną Nieklaszewicz, gospodaruje na wspólnkę z nowym ekonomem, którego żona u niego klucznicą... Nie można powiedzieć... Wcale ładna kobiecina...

— A pani podkomorzyna?

— Je, pije i zdrowa żyje! i mocno tyje!

— A pan Henryk?...

— Ożenił się...

— Miljonowo?

— Nie tak bardzo... jest wprawdzie milion majątku, ale siedmkroć czystego długu i cukrownia w dodatku...

— A panna Celestyna?

— Zawsze dowcipna, zawsze ładna, i zawsze za mąż nie idzie...

— Ale jest nadzieja...

— Jest dwie nadzieje, z których nic nie będzie i trzecia której nie chcą, a wziąć będą musieli...

— Stolik jakoś niebardzo odgadł przyszłość.

— A panu? spytał uśmiechając się znowu i spoglądając na mnie zukosa mój towarzysz.

— Jeszcze nie ze wszystkim.

— Nie frasuj się pan, przyjdzie wszystko powoli...

— O tem nie wątpię, odpowiedziałem z westchnieniem.

Byliśmy już u promu.

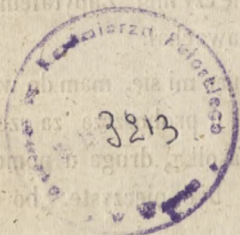
— A pan przewozisz się czy nie? Zapytałem staro który się widocznie zawachał.

— Ot, nie, rzekł kłaniając mi się, mam do wyboru dwie wieczerze, jedna u proboszcza za rzeką... ale tam będzie krupnik z fasolką, druga u pomocnika... gdzie dziś powinnyby być pieczone, bo mają

gości, zwróć się do niego. Krupnik ma swoją dobrą stronę, ale na noc zawsze pieczone wołę...

To mówiąc ruszył głową poważnie, zawrócił się i odszedł, a odtąd więcej go nie widziałem.

KONIEC.



1646







